

KRYSTYNA KARWAT

# MÓJ BIG BEN

„Dobry człowiek jest zawsze łaską dla tego świata”

Phil Bosmans

Z wyrazami wdzięczności Barbarze i Waldemarowi Kijankom  
oraz Izabeli Herman

- autorka tomiku

Ilustracje: Mieczysław Wojtas  
Zdjęcie autorki: Marcin Jaszak

Skład

*Pigeon*

© by **Krystyna Karwat**, Lublin 2012

ISBN 978-83-935661-1-2

*Edycja limitowana: egzemplarze nr 1 – 100*

WYDAWNICTWO *habibi*  
ul. Bolesława Chrobrego 16/13  
20-611 Lublin  
<http://robert-karwat.blog.onet.pl>  
e-mail: [roberthabibi@gmail.com](mailto:roberthabibi@gmail.com)  
tel. 510 53 64 49

## WSTĘP

„Zegar tyka. Wszystkich”. Stanisław Jerzy Lec ma rację. Nie jestem wyjątkiem. Każdy z nas nieustannie podlega przemijaniu. *Mój Big Ben*, tytułowy utwór tomiku zrodził się po pobycie w Londynie w lutym 2005 r. Pewnego razu znalazłam się z wnuczką przed pięknym gmachem Parlamentu, w pobliżu którego uwagę przyciągnął wielki zegar zwany Big Benem. Milczałam, rozmyślając. Po chwili głośno wypowiedziałam refleksję: „Maritko, zegar mojego życia bardzo się już śpieszy, muszę podążyć za nim, by zrealizować pewne zamierzenia”. Wnuczka objęła mnie serdecznie i prawie wykrzyknęła: „Babciu, będziesz żyła sto lat!”. Z niedowierzaniem przytuliłam ją mocno...

Pomyślałam, jak bardzo człowiek przywiązany jest do życia, choć, jak mówi Friedrich Schiller w wierszu *Pierścień Polikratesa*: „Niezmacona radość życia nie jest udziałem śmiertelnych”.

Niech nas to nie przeraża. Wprawdzie i Horacy przestrzega: „Vitae summa brevis spem nos vetat iuchoare longam” – „Krótkie życie nie pozwala nam żywić odległych nadziei” (z *Pieśni* 1,4,15). Wiemy jednak, że księga życia odkrywa przed nami światy niezwyklej urody, dzięki którym dojrzewamy intelektualnie, duchowo, emocjonalnie. Budzi się w nas twórcza postawa wobec życia, potrzeba dźwigania z innymi losów świata.

Żyć dorzecznie uczymy się przez całe życie. Najważniejsze przecież, by być człowiekiem i to dobrym człowiekiem.

Utwory zawarte w pięciu cyklach tematycznych są moim spojrzeniem na drogi życia człowieka, na własne dzieje, w których każdy odnajdzie cząstkę swoich losów.

Swoją księgę życia wpisałam w rodzinne pejzaże, utrwalone przez pamięć na zawsze. Tam matka, ojciec, rodzeństwo i dom rodzinny ze swoją wiecznością i nieprzemijającą tęsknotą do niego.

*Jesienna sonata* to dzieje kobiety od dzieciństwa po jesień życia, wpisane w niezwyklej pejzaż z rodzinnych stron. Świadkiem – aleja grabowa biegnąca

wokół pałacu hrabiego Kickiego w Orłowie Murowanym niedaleko Izbicy.

Pamięć przywołuje także niezwykłość przyrody innych ziem.

Rejs Morzem Czarnym na Krym, do Gruzji przyniósł fascynację nieskończonością morską, tajemniczą mową głębin, spokojem fal w blasku słońca i burzliwością bliską człowiekowi w jego ziemskiej wędrówce.

Niech więc nie zdumiewa tekst *Morzem jestem*, w którym utożsamiam się z Naturą. Krym z egzotyczną przyrodą pozwolił iść śladami stóp Wieszcza, którego poezja bliska jest jak modlitwa...

Niech nie dziwi fakt, że postać zebrzącej matki ze śpiącym w jej objęciach dzieciątkiem zderzyłam z Madonną Sykstyńską (*Kolchidzka Madonna*).

Wspomnienia są królestwem, z którego nic nas nie może wypędzić, chociaż niosą wydarzenia pełne tragizmu dla najbliższych i dla narodu. Dlatego pojawia się w tomiku cykl *Był taki czas* – pacyfikacja w rodzinnej wsi w okresie wojny, los Żydów, którym okupant odmówił prawa do życia. Kirkut z pięcioma tysiącami ofiar Holocaustu w Izbicy, oddalonej o sześć kilometrów od Kryniczek, jest wstrząsającym wspomnieniem mojego dzieciństwa. I wiejska Święta Droga...

Przeszłość jest nieodwracalna, ale terażniejszość przed każdym z nas, na niej budujemy przyszłość własną i losy narodu.

Czytelniku, spróbuj odnaleźć w utworach refleksje, które towarzyszą każdemu człowiekowi.

Życie – chwilą wieczności. Chwytajmy każdy przejaw piękna, dobroci, mądrości, szczęścia, radości, miłości i niezwykłości człowieka, którego mój syn w wierszu *Już za chwilę* nazwał „cudem Wszechświata”.

Pamiętajmy jednak, że życie niesie i ból, cierpienie, tęsknotę, lęk, samotność i zagubienie – ich mieszanina jest ludzkim losem.

Poeta włoski, wybitny liryk (1798–1837) Giacomo Leopardi powiedział: „Dwie piękne rzeczy posiada świat! Miłość i Śmierć...”. Zaskakujące, ale prawdziwe!

Miłość... Najwyższa ze wszystkich duchowych wartości. Klucz do odkrycia tajemnic – kim jest człowiek jako osoba? Czy miłość jest w stanie przezwyciężyć cierpienie i zło świata? Z pewnością sprzyja rozwojowi osobowemu człowieka. Jeśli jest tak niezwykła jak w prawie wschodniej baśni *Biała Róża*. Opowieść usłyszałam z ust Bożenki, Białej Róży – o miłości Polki i mieszkańca Bejrutu, człowieka światowego.

Ze względu na miejsce jego pochodzenia – Liban ze swoją bogatą historią,

kulturą, odwiecznymi cedrami – pokusiłam się o naśladownictwo języka *Koranu*, choć wątpię, czy udało mi się to. Wielu twórców czyniło podobnie – bez większych efektów.

Zawsze będę jednak pamiętać piękną twarz bohaterki snującej wspomnienie o ukochanym. Jej uśmiech, spojrzenie błękitnych oczu nie należały się mnie, ale temu, kto odszedł z tego świata, a Biała Róża żyła minionym szczęściem, by wkrótce podążyć za mężem.

*Leśna opowieść* o młodszej miłości trwającej całe życie jest niewiarygodna, ale prawdziwa.

Nawiązanie do *Romea i Julii* Szekspira inspirowane jest historią prawdziwą – współczesną. Ożywiłam bohaterów szekspirowskich w rodzinnej scenerii, ale z wielkimi namiętnościami.

W *Pieśni nad pieśniami* (*Biblia – Stary Testament*) czytamy: „Miłość mocna jak śmierć...”. W liście św. Pawła do Koryntian napisano: „Wiara, nadzieja, miłość – te trzy: z nich zaś największa jest miłość”.

Wszelką miłość promuje najwyższy Absolut – Bóg... Ziemskie pielgrzymowanie zmierza nieuchronnie do niebieskiej krainy. Śmierć budzi w nas lęk, wyzwala ból i cierpienie dla tych, którzy tracą bliskich. *Oratorium na cześć życia*, utwór zbudowany na wzór gatunku właściwego muzyce, łagodzi trudne doznania zakończeniem: „Jak dobrze! Wieczna nieskończoność...”. Trawi nas jednak tęsknota za tymi, którzy odchodzą na zawsze (*Gdybyś powrócił*).

Przeżyłam dwukrotnie *Danse macabre* – niełatwy taniec śmierci, odnotowuję to w swojej księdze życia.

Kocham świat, człowieka i *Błogosławiony cud Natury* – jak bliskość Boga.

W ostatnim cyklu *Kartki z wędrówek* wspominam spotkania na życiowych drogach z ludźmi niezwykłymi i miejscami pełnymi urody.

„Bije zegar godziny, my wtedy mawiamy:

Jak ten czas szybko mija! – a to my mijamy!

(Stanisław Jachowicz, *Dziecię w łodzi*)

Z pozdrowieniami – autorka tomiku *Mój Big Ben*



Istniec





Lublin, 2007-09-02

Najdroższa Mamo!

Matko moja. Twoje oczy idą za mną. Widzę je w lazurze nieba, gdy gonię wzrokiem umykające obłoki. W chmurne dni i ciemne noce jaśniej od Twojego dalekiego spojrzenia. Jak tarcza był Twój uśmiech na progu rodzinnego domu. Burze i niepogody uśmierzałaś łagodnością. W dobrych objęciach ginęły wielkie smutki i małe smuteczki, a dotyk Twoich spracowanych rąk niósł spokojność i nadzieję.

Matko moja, z losem wędrującym po bezdrożach, dałaś mi siłę i mądrość. Obdarowałaś sercem bijącym, które nie zdążyło wyśpiewać dziękczynnej pieśni.

Tak wcześnie skryłaś się w cień, otuliłaś chłodem ziemi.

Matko moja, nieustannie szukam Twoich śladów.

Zawsze i wszędzie idziesz ze mną przez życie. Miłość mi dałaś, a ja dzielę się nią ze światem.

*Fragment listu do zmarłej Matki*

## Mój Big Ben

Londyńska noc ciepłym mrokiem rozbłysła światłami, spadła na czas miniony, którego kroki dalekim echem dzwonią, to milkną w zadumie, to znów wołają z oddali, odchodząc pośpiesznie. Daremnie przyzywasz zaprzeszłe godziny. Przepadły w beczasie, umknęły, nim zdołałeś pochwytać ich blask. Jak srebrne krople stoczyły się, rozprysły w niebycie. W zakamarkach pamięci zgubiły swój ślad.

Wielki Zegar rytmicznie wydzwania twój czas.

Big Benie, zatrzymaj się, noc taka urodna, przysiądź na jedną krótką chwilę, nim nieskończoność zawoła. Każda minuta tej nocy niech będzie wiecznością, nim utrudzony zatrzymasz na zawsze mój bieg.

Big Benie, popatrz, fioletowe cienie otulają łagodnie. Pomarańczowo-złote smugi ulicznych lamp zapadają w oczy, rozpalając w nich niezwykle taneczne refleksy.

Mój Big Benie, śpiewaj godziny istnienia, życia!...

*Po pobycie w Londynie – 2005 r.*

## Istnieć

Pod kopułą nocy sennie szumi morze, śpi ławica plaży, a gwiazdy jak tańczące płomyki ognia migocą, chwieją się i kołyszą. Zaklęty, zaczarowany krąg...

Chwytam świat w ramiona, porywam w szalony taniec. Wiruję lekko, płynię, rytmicznie. Muzyka niesie jak na skrzydłach. Owładnięta mocą dźwięków unoszę się ponad taneczny krąg – skocznie, szybko, na zatracenie. Dotykam gwiazd, otulam chłodnym blaskiem księżyca, zataczam krąg po kręgu i spadam na morską falę. Wyłaniam się z niej jak Wenus nieśmiertelna. I tańczę, tańczę w objęciu żywiołu.

Toczy się woda, płynie życie...

– Eklezjasto, mówiłeś: „Marność (...)”, a tu pełnia szczęśliwej, roztańczonej godziny.

– Wtem wionęło przejmującym chłodem. Spłoszony sen. Puste objęcia, śmiertelna dłoń, która porywa w galopujący wir. Oko w oko idę teraz w tany ze śmiercią, mocuję się z nią, ale krok w krok pędzi ze mną, nieubłaganie. Wzrokiem pełnym życia ciskam gromy.

– Eklezjasto, ratuj!

Z głową uniesioną ku niebiosom dźwigam się.

– Oto jestem! – przenikliwy krzyk niesie się poprzez morską głębinę.

– Istnieję! Przemijam. Pojawiłam się na chwilę i nie oddam jej nawet za cenę raju.

Przejmująca muzyka morza. Dotyk łagodnej fali.

– Istnieję!...

## Jesienna sonata

### Ekspozycja

Wodo, wodo kryniczna, święte źródło dzieciństwa. Pochyliłam się nad twoim kryształem i szukam zaginionych dni.

Święty Janie, biały Strażniku źródlanego chłodu i brylantowej wilgoci, otwórz bramy czasu. Zanurzam dłonie w diamentowych kroplach, roszę twarz i z mgieł niepamięci przywołuję dawność. Jesiennie życie, a tu...

## **Allegro**

Słońce u progu lata rozlewa strumienie jasności, stroi w nią drogę piaszczystą, łąki i stawy. W rowach kumkają żaby, a łąkowe świerszcze grają swój koncert. Nadwodne trzciny i zielonoświątkowy tatarak kołyszą się w rytm sonatowej melodii.

Tupot bosych stóp na drodze, strzelający w górę piasek. Żywy akompaniament. Powiewają warkocze, klaszczą do taktu małe dłonie. Skok w skok... Dźwięczy śmiech, dzwoni ptak...

Stopy niosą między zieloność drzew, krzewów i trawy. Jakby motyl albo skrzydlata ważka sfrunęła na grabową aleję. Dziecięco zdumione oczy nadziwić się nie mogą urodzie tego miejsca.

## **Andante**

Rozsrebrzone blaskiem dnia pnie wysokich grabów ciągną wzrok ku rozpostartym baldachimom koron. Jasne promienie słońca strzelają przez ażurowość liści.

Nieco dalej od alei rozłożyły się piękne kasztany. Dumne jodły i modrzewie pną się pod niebiosa, świerki przycupnęły zieleniście, a lipy pachną, tak słodko pachną, aż dech zapiera...

Sekretne ścieżki zapraszają przyjaźnie i wiodą bose stopy wolno, wolniutko.

Różany klomb wydaje się niezwykłym różanym ogrodem. Jaśniej oczy, lśnią czerwienią, bielą i żółcią główki róż, jakby kłaniając się zabłąkanej niespodziewanie dziewczynce. I ten odurzający aromat!...

Tak pięknie to chyba na niebieskich łąkach pośród Aniołów...

Wtem atłasowe oczy bratków, bielutkich rumianków, słodkiej rezedy i przepysznych hortensji rozbarwiły świat. Tupot bosych stóp, klaszczą dłonie. Pejzaż jak z bajki...

Nagle do uszu parkowej wędrowniczki wdziera się szum skrzydeł i hałaśliwa muzyka – to w niedalekiej gęstwinie przekwitłych bzów i jaśminów z nielicznymi o tej porze kwiatami zaplątały się trzepoczące ptaki.

Nieruchomieje się w zasłuchaniu w ptasią sonatinę. Słodko płyną chwile...

Wzrok goni dalej. Co za dziwny skalny ogród! Cichutko, spokojnie, prawie na palcach tam podążają stopy. Sylwetka pochyla się i w zachwyceniu wędruje po

krainie pełnej różnorodnych roślin. Może góry są też tak wspaniałe, tylko chyba ogromne, nieprzeniknione...

Warkocze znów fruwią, nogi biegną na grabową aleję. Jak dobrze iść! Srebrzyste pnie jakby szły razem, krok w krok...

Dziecięca postać podbiega do jednego z drzew, obejmuje je drobnymi rękami, przytula twarz do chłodu srebrzystogładkiej kory i wtedy oczy chwytają obraz niżej położonych łąk. Żółte oczy mleczków mrugają spośród soczystej zielonej trawy. Dziw nad dziwy!

A tam dalej, dalej na wzgórzu, w gęstwinie drzew wznosiło się niegdyś stare zamczysko. Przez zamknięte oczy widzi się go, choć pozostały tylko zapadające się w ziemię wrota z wielką kłódką. Muszą prowadzić do tajemniczego świata... A wiosną wokoło zatrzęsienie fiołków rozsiewających delikatny zapach.

Wzrok biegnie na łąki. Co to? Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki spada na nie szarość, zaczynają dymić mgłami...

Bose stopy pędzą po grabowej alei. Jeszcze tylko dzwoni ptak i coraz ciszej dźwięczy śmiech, aż wszystko przepada we mgle znad łąk. Cisza...

## Scherzo

Pełnia lata... Bładość poranka ustępuje jarzącemu się wschodowi słońca. W brzasku jutrzeńki lśnią krople rosy. Obmywają drzewa, krzewy, trawę, a na zbudzonych płatkach kwiatów iskrzą się jak brylanty. Cienista aleja grabowa suszy się w promieniach światła sączącego się poprzez liście. Rzedną łąkowe opary. Rozniebieścił się bezkres nieba.

Szelest liści na alei. Cicha rozmowa. Jakby dwa cienie, przemykając wolno, to zatrzymują się, topiąc spojrzenia w swoich oczach, to znów kroczą przed siebie, z dłonią w dłoni. Burza kwiatów i zieleni niewidzialna dla tych dwojga, w nich burza serc, namiętności.

Bożek miłości biegnie, tańczy, tuż, tuż... Skłębione myśli, wrażenia.

Ledwie słyszalne dźwięki melodii. On obejmuje dziewczynę. Delikatnie, miarowo tańczą z nimi drzewa, łąkowy świat wiruje w ten rytm. Lekki wiatr zakręcił, zakręcił, słowa brzmiały skrzydłato, skrzydłato...

Milknie muzyka. Niczym niezmacona cisza. Tylko tych dwoje zapatrzonych w siebie, wtulonych w jedność, nierozzerwalność.

Nagle on podbiegł do różanego klombu i urodę jego obrabował z kilku

płonących róż. Oczy jej zalśniły migotliwym blaskiem, twarz spłonęła się rumieńcem.

Wolno ruszyli aleją. Graby kłaniały się nisko, srebrzyście. Widać już tylko dwa cienie okryte welonem jasnej mgiełki...

## **Finał**

Dzień biegnie za dniem, noce księżycowe, gwiazdziste albo czarne jak otchłań. Lata pędzą niepowstrzymane, czas grzebie zdarzenia, bliskich, ufność i siłę.

Grabową aleją hula wiatr, szarpie bezlitośnie drzewami. Powalona jodła jak okaleczone życie. Bładawe niebo, smugi mgły na łąkach, zwiędłe kwiaty. Tylko jarzębina i berberysy rumienią się z oddali. Jesiennieją drzewa, z żalnością sypiąc liśćmi.

Niepokój szarpie sercem kobiety zawiniętej w szal cienki jak mgła. W gorzkiej zadumie przysiada na martwym pniu.

Z mgły zapomnienia wyłania się tupot bosych stóp po grabowej alei i ogrodowa podróżniczka po cudach natury.

I ten wirujący taniec, atlasowe spojrzenie w jego oczach. Aksamit czerwonych róż...

Spochmurniało niebo. Ręce dotykają chropowatej kory jodły w bolesnym geście pożegnania.

Znów aleja. Wolny krok nabiera życia. Szybko, coraz szybciej. Szeleszczące sonatowe allegro...

Smuga cienia wokół postaci. Gęstnieją mgły...

## MORZEM JESTEM

### Nocą na Morzu Czarnym

Oczy utonęły w morskiej fali. Ciągnie ona do siebie, woła, przyzywa. Powoli zanurzam się w jej mrok, stapiam z nią. Faluję łagodnie, raz po raz wynurzam się w srebrzystym blasku nieskończoności. Fala z obrazu Aristidea Maillola<sup>1</sup>...

Otoczona zewsząd nocy czeluścią – jaśnieję nagle cała, świetlista i połyskliwa. I biegnę, biegnę po fali ku brzegowi, choć żadna z gwiazd rozrzuconych nade mną nie wskazuje drogi. Mój brzeg daleko...

Drzę niespokojnie jednostajnym pluskiem. Wołam: przyjmij mnie. Obmyję twoje stopy, ugaszę pragnienie.

Milczysz...

Rozbijam się u twojego brzegu.

### Nawałnica

Jestem morzem... Płynę nieustannie – wieczna dal, bezmiar nieskończony. Fale moje wypatrują horyzontu – ciągły niepokój...

Ciemny wiatr pęcznieje chmurami, a niebo rzuca go w coraz gwałtowniejszą gonitwę. Ośmiornica opada na moje wody, targnięte nagłym błyskiem. Zanurzam się w połyskującą zieleń jak w bolesny zachwyt. Białe języki mego grzbietu czają się do skoku. Za chwilę runą w głąb.

Znów jestem żywiołem! Potężnieję. Dźwigam moc niepojętą. Wybucham.

Ukośne strugi ciemności ranią bezboleśnie.

Wszystko we mnie faluje, jak krzyk samotnej rybitwy.

### Tonący okręt

Gwałtowny podmuch wiatru zakołysał morską falą, dźwignął wysoko pienne grzywy, rzucił je na dno, by w następnej chwili wzniesć jeszcze wyżej i rozbić

<sup>1</sup> Aristide Maillol: „Fala” albo „Morze”, 1898 r. (Malarz bliski ideom nabistów, choć nie bierze udziału w działaniach ruchu)

na nieskończoność bryzgających kropli.

Powiało trwogą...

Niebo w strzępach pęczniejących chmur, targanych huraganem, z dziką gwałtownością opada mrokiem na wzburzone wody. Gniewny pomruk żywiołu z samego dna prapoczątku z hukiem szturmuje mój okręt, uderza w niego wściekle i jak bezradną łupinką miota nim na wszystkie strony.

W duszy rozpętuje się burza uczuć...

Spieniona fala przetacza się, przewala z niesłychanym rykiem, który miesza się z rozdzierającymi głosami podróżnych. Jedni padają na kolana, błagalnie wznosząc ręce ku niebu, drudzy toną we łzach, chroniąc się w ramiona bliskich, inni leżąc na pokładzie, patrzą niewidzącym wzrokiem, zagłębieni w myśli ostateczne, trudniejsze od burzliwości życia.

Nadzieja ginie w otchłannej toni...

Ster daremnie szamocze się z przemożną siłą nawałnicy. Runął maszt! Postrzępione białe żagle. Zerwane liny. Strzaskana busola wiedzie na zatracenie...

Samotna, zagubiona w tłumie, wołam bezgłośnie:

– Panie, dałeś mi błękit nieboskłonu, blask słońca, srebro gwiazd, muzykę wiatru, śpiewność połyskliwych morskich fal – nie odbieraj swoich darów...

– Panie, nieskończonej dobroci, nie strącaj do huczącej, kłębiącej się topieli... Jak mam odwyknąć od bliskich oczu, od niezwykłości ludzkiej natury, od barw i cudów świata, od jasności dnia i nocy rozświetlanej księżycem?...

– Panie, uciszałeś wszak morskie burze, uczynź to jeszcze raz!...

Nagła światłość przesywa oczy i morską toń... Słońce między chmurami! Oddalające się dudnienie gromu i... cisza... Poraniony okręt kołysze się na fali... Niesie z wolna ku brzegom ludzkich przeznaczeń.

– Istnieję, znów istnieję!...

## Uspokojenie

Okręt mój tnie ostro gładką toń morza. Słoneczny potok nieba kładzie się na fali. Promienieję w błękitnej ciszy, choć we mnie krzyk samotnej ciemnej smugi wiatru. Wzrok biegnie za jej lotem, spada nagle na wody.

Dokąd? Dokąd tak?

Milczące rozniebieścienie fali. Trzepot mewy...

Szybuję górną – jak ptak. Karmię się łagodnością czyjejs dłoni, otwartym spojrzeniem gonię czyjs wzrok. Spłoszona rzucam się w mokry zachwyty nieba, burzę jego spokój i strojną cichą falą znów dążę przed siebie.

Czasem targam wiatr, rozrywam błyskawice, siekę deszcz. Brzeg ciągle daleko!

Nie przysiądę na Białej Skale...<sup>2</sup>

Wieczność całą podążać będę niestrudzona ku swojej wyspie.

## Dwa brzegi

Te same wody obmywają nasze brzegi. Uderzają łagodnie, muskają i pieszczą. Jakże to mało!

Wyrwamy się ku sobie – od zawsze. Falo, nieś tamtemu brzegowi pozdrowienie od gór, kłaniaj się od stoków, gdzie zatrząsienie rozwichrzonych zieleni. Weź ze sobą wonność gajów pomarańczy i herbacianych pól.

Odrywa się fala od brzegu, biegnie i pędzi, rośnie i potężnieje, spada w głąb, by wynurzyć się spienioną grzywą, zewrzeć z inną falą i... rozbić.

Nie dotrze do przeznaczenia, nie ogrzeje swym ciepłem, nie ukoji samotności. Daremnie spragniony brzeg otwiera ramiona. Spójrzy na szary, chłodny pejzaż Odessy i rzuci mi rozkaz: Płyn! Posłuszna jak fala podążę ku nowemu brzegowi. Już nabieram mocy, kłębię się i prężę, zapadam w morską topiel i nagle wytryskam niezliczoną ilością świetlistych kropli, które rozmigocą się na chwilę w słońcu i zginą w morskim odmęcie.

Jak dwa brzegi, oddalone od siebie na zawsze, po kres świata śnić będziemy o bliskości.

## Eden

Samotny przemierzasz brzeg ciemnego morza, rozpaloną skroń przykładasz do przybrzeżnej skały, przysiadasz na bezradnie pustej plaży. Biegiesz ku fali, by zanurzyć się w jej otchłani jak w bliskim objęciu i wybuchnąć skargą. Nie ma ukojenia.

<sup>2</sup> Nawiązanie do Safony (VII–VI w. pne.), największej greckiej poetki lirycznej, zamieszkałej w Mitylene na wyspie Lesbos. Według jednej z legend Safo z powodu nieszczęśliwej miłości do poety Alkajosa rzuciła się z Białej Skały do morza. Skok był śmiertelny.



Pędzisz piaszczystą drogą, raniąc stopy, do tego, czego już nie możesz odnaleźć.

Oto ogród twojej szczęśliwości:

Drzewa pomarańczowe i cytrynowe uginają się od ciężaru owoców – a w tobie głód. Róża rozwija szkarłatny, pnie się do słońca i odurza niepokojącym zapachem, od którego drży serce. Cyprysy zmroczeniały, schylając dumne wierzchołki, jakby chciały się skarżyć. Zamarła magnoliowa aleja, którą jeszcze wczoraj szła radość, a dróżką pod bambusowym baldachimem kroczy pustka. Rajski ptak zwinął skrzydła, choć w minionej zaledwie przed chwilą godzinie śpiewał do utraty tchu. Gaj oliwny skąpi łagodnego cienia – trawi cię żar. Lazur nieba spada na oczy, szukając w nich niedawnego śmiechu, tak hojnie darzącego.

Słodka gorycz utraconego raj...

Jest, a nie ma go. Trwa, ale nie cieszy. Padasz pod odwiecznymi cedrami, podnosisz się, by płakać w cieniu eukaliptusa.

Nagle czujesz dobrotliwe muśnięcie wiatru znad morza. Słyszysz odległy szum fal. Mkniesz tam z nadzieją, choć drzysz jak liść na wietrze.

Błysk wodnego bezmiaru, chłodny zapach wilgoci, tajemna mowa głębin...

Rozsrebrzone grzbiety fal prężą się, opadają, znów dźwigają ku słońcu, rozpalając w twoich oczach cień blasku.

Czymże wobec tej nieskończoności jest utrata chwili szczęścia, które jak ptak przelotny nawiedza cię i odlatuje?

## **Bogini**

Brzeg morza najeżony dzikimi skałami wyłania się powoli z szarego świtu. Jeszcze nocne mgiełki unoszą się nad bezkresem wód, a już z linii dalekiego horyzontu wynurzają się rozstrzelone promienie wschodzącego słońca. Płomień zorzy rośnie, rośnie, okrągłeje i rozpala morze pomarańczowym blaskiem. Potem wody z wolna niebiescieją, rosną pierwsze migocące fale, zaczynają lśnić roztrzepotane skrzydła mew. Dotknięte ciepłem kwiaty lotosu rozchylają wonne płatki i prężą duże, na kształt tarczy – liście.

Stoję na szczycie pierwotnej skały i ogarniam zmysłami boski bezmiar żywiołu. Przymykam oczy, stapiam się z niepojętym ogromem.

Nieoczekiwanie w szumie fal dziwne rytmy. Wionęło. Rozgorzało... Piasek pod stopami. Spojrzenie chwyta zdumiewające senne zjawisko. Na szkarłacie lotosowego tronu, spowita czystością bieli, w złotym kołpaku na głowie – Bogini o tysiącu rąk!<sup>3</sup> Przez jej twarz przelatuje płomień, martwe oczy pobłyskują jak gwiazdy. Kształtna postać wije się jak wąż, gnie, przegina. Modlitewny gest złączonych na piersiach dłoni.

Tuż za Boginią w dziwnej światłości czyjaś twarz. Ciepłe spojrzenie bliskich oczu i uśmiech... Wyrrywam się na spotkanie ze szczęściem – daremnie. Bogini bucha żarem płomienistych języków ognia. Przedzieram się przez nie, ale dostępu bronią niezliczone ręce.

– Ja muszę!

– Nie!

Nagły skurcz serca, łomot i mój krzyk.

... Budzę się. Niecierpliwym wzrokiem szukam, szukam.

– Jest! Posążek Bogini znowu stoi nieporuszenie...

### Umknąć wieczności

Snujesz się samotnie i – trącając żalną strunę liry – rozdierająco skarżysz się na swój los. Gonisz daremnie za umykającym cieniem Eurydyki. W bolesnej bezsilności pochylasz się nad jej przypadkowym grobem. Błądzisz opustoszałym brzegiem cichego, błękitnego i zadumanego morza. Padasz na piaszczyste łożo. Płaczesz...

Milczą bezradnie szare zręby skalne, martwa fala i niebo dalekie. Zamilkła dźwiękostrunna lira...

– Orfeuszu! – Nagle żalną ciszę płoszy wołanie.

– Słyszysz? Unieś głowę. Wzywa cię twoja Eurydyka. Szarpie wieczny mrok, z otchłani wyrzywa się ku tobie, biegnie jak wichur. Jej oczy spłonęły blaskiem, który ostro tnie śmiertelną falę.

– Orfeuszu! Trąć czarodziejską strunę, niech płynie z niej pieśń. Patrz, słońce napełnia przybrzeżne wody światłem życiodajnym. W złocistej poświacie wyłania się z morskiej toni jak nieziemskie zjawisko – ona...

– Eurydyko!

– Orfeuszu!

<sup>3</sup> Bogini o tysiącu rąk wiąże się ze sztuką Wietnamu. Posążek Bogini w posiadaniu autorki tekstu. Wyrzeźbił go artysta – Wietnamczyk zatrudniony w pewnym okresie przy renowacji Starego Miasta w Lublinie.

Pod wpływem cyklu obrazów:

1. „Rozpacz Orfeusza” – Aleksander Seon (1855 – 1917),  
Muzeum Orsay, Paryż

2. „Orfeusz” Henri Martin (1860 – 1943)

3. „Orfeusz” (1865), piórko i brązowy tusz, Gustave Moreau  
(symbolista), Musee

G. Moreau, Paryż

4. „Orfeusz” (1865), olej na drewnie, G. Moreau, Paryż,  
Muzeum Orsay

5. „Orfeusz na grobie Eurydyki”, G. Moreau, Paryż, Muzeum  
Orsay

### Oratorium na cześć życia

Triumfujący krzyk narodzin. Blask jasnego płomienia świecy. Zdziwione spojrzenie na świat.

– Jestem, istnieję!

W niszy ciepłych ramion śpiewa moje serce.

– Witaj, ojcze! Witaj, matko! Witaj, matko – Ziemi!

Mały jestem jak górski strumyk pośród skalistego pejzażu. Wody moje le-dwie kwilą, śpiewnie szemrzą po łagodnych kamykach. Biegnę i biegnę. Rosnę! Jestem już jak rzeka, której wody toczą się wartko i faliście, czasem potykają o ostre kamienie, by nagle zburzyć się spienioną falą, to znów rozsrebrzyć spokojnie w blasku dnia, migotliwie zalśnić w księżycowej poświacie, znów rozsza-leć się i dążyć, dążyć przed siebie, by spocząć w morskim żywiole, w jego sile i nieskończoności.

A więc to jest życie? Tak prędko, galopująco, tak nagle?

Serce szamocze się boleśnie i wyrwa z nieuchronnych szponów.

Danse macabre!

Nie ma ucieczki! Oczy przestają widzieć, uszy słyszeć, zamiera cielesność. Jak ciemno... Echo czyjś wołania, krzyku, płaczu, czyjaś twarz...

Tylko skrzypce drżą czystymi dźwiękami *Ave Maryja*.

Cisza, spokój... Żegnaj, świecie!

Dusza patrzy na żałobny korowód. Kroczy z nim krajobraz – szeregami lip, które nie zdążyły przyoblec się w odurzający zapach kwitnienia. Chmurne niebo

płacze strugami deszczu.

Żal, mroczny żal...

Nagle jasność ogromna wyrывa mnie z ciemności. Lekkiimi stopami dotykam niebieskich okwieconych łąk. Przedziwna, niepojęta kraina...

– Słyszę! Czyj to głos?

– Witaj, wędrowcze! Odpocznij po trudach ziemskiej tułaczki. Niechaj chóry anielskie napełnią cię słodyczą...

Znów drżą łagodnie struny skrzypiec i dźwięczy śpiew *Ave Maryja*...

– Jak dobrze! Wieczna nieskończoność...

*Napisano po 19 maja 2003 r.*

### **Danse macabre**

Przeciągły, ostry dźwięk karetki pogotowia dociera do uszu, atakuje mózg. Galopujące serce, ból rozsadzający wnętrze, krzyk zastygły na zbielełych wargach. Myśl z trudem przedziera się, przybiera kształt ni to skargi, ni to refleksji: „To już koniec!” Przez głowę przelatują obrazy – okruchy życia. Czyjeś bliskie oczy, zamglony portret matki, twarze dzieci, jakiś pejzaż niezapomniany i wszystko, czego nie zdążyło się zrealizować. Więc to już, tak nagle, niespodziewanie, tak zdradziecko? Żal utrudnia oddech. Pod zamkniętymi powiekami ciągle przetaczają się obrazy życia, od których przyjdzie odwyknąć.

– Panie, nie zabieraj mi blasku słońca, srebra gwiazd i księżycy, pozwól trwać jeszcze chwilę w zachwycie nad urodą świata, niezwykłością człowieka, który istnieje, żyje po to, by tworzyć, budować, kochać...

– Panie, pozwól przemierzyć ciemną dolinę bezpiecznie, ujrzeć światło...

Duszno, rwie się oddech. Daremnie próbuję mocować się ze słabością. Jak w średniowiecznym tańcu śmierci cień z kosą rozpościera nade mną skrzydła, zaglądam w nielitościwe oczy, próbuję wyrwać się ze śmiertelnych szponów, które porywają do szalonej galopady. Czy blade jak chusta oblicze należy do mnie, czy do nieodwołalnej zjawy?

– Ratunku! Pomocy! – z trudem wydobyty głos. Nade mną białe fartuchy. Zapadam się w dziwny mrok...

Nagle wrywa mnie z niego głos pełen słodyczy:

– Za chwilę będzie lżej, ból minie.

Czyjaś dłoń na mojej ręce. Z trudem rozwieram powieki, chcę zobaczyć.  
Gdzie jestem? Czy to twarz matejkowskiego Anioła grającego na cytrze?...

Młody lekarz – odtąd z przydomkiem „Anioł”.

Istnieję. Żyję...

### **Gdybyś powrócić**

Gdybyś powrócił, w zatrzęsieniu majowej zieleni znów dzwoniłyby ptaki, jak w tamtej godzinie, gdy niebo zsyłało jasność poranka i dotyk łagodnych promieni słońca. Serca uderzały zgodnie. Rąbek błękitu zaglądał w oczy.

Przekwitły bzy. Zgasło spojrzenie, nim zdążyło ogarnąć obsypane bielą kwiatów lipy.

Gdybyś powrócił, księżyc i gwiazdy rozsrebrzyłyby, to znów rozżłociły ciemną chustę nieba, jak wtedy, gdy z dłonią w dłoni szliśmy na spotkanie jutra.

Nagle mrok zastąpił ci drogę, wiekuisty taniec rozdzielił ze światem...

Gdybyś powrócił, letni deszcz zapaliłby wielobarwną tęczę na niebie, a śniegi sypałyby połyskującą bielą, przechodzącą w pastelową niebieskość.

Niespodziewanie otuliłeś się przejmującym chłodem, ziemią odgrodziłeś...

Wróć! Powiodę cię piaszczystym brzegiem morza. Przysiadzimy na przyjaźnie milczącym kamieniu, który rozsądzi miniony czas. Zanurzymy bose stopy w chłodnej topieli. Zbliżnią się rany, oczyszczą dusze. Powrócimy do swojej Itaki. Lazurowa nieskończoność utonie w naszych oczach.

Gdybyś powrócił...

Nuci ptak. Kwitnie lipa. Niebo sypie gwiazdami. Deszcz lśni na liściach, a śnieg szeleści pod stopami. Żłocisty krąg słońca zapada w morze. W powietrzu wisi zapach ziemi...

Gdybyś powrócił...

*Lipiec 2003 r.*

## Pożegnanie z Arkadią

Arkadia! Ziemska kraina gorzkiej szczęśliwości...

Idziesz aleją wysadzaną klonami. Słońce sączy się przez liście drzew, by u wylotu drogi opaść złotą ulewą na małe wzniesienie, zarosłe ciernistymi krzakami głogu, dzikiej róży i tarniny. Ileż razy płakałeś tu nad straconymi złudzeniami albo słuchałeś arkadyjskich pieśni o miłości.

Mijas samotny cynobrowy kwiat, jedynego świadka niemych wyznań.

Zanurzasz się w balsam jodeł i świerków, w ich zieloność, ciszę i ciemność. Żywiczna woń napełnia siłą, a serce cichnie w tajemnej mądrości. Snuje się nic rozmyślań...

Z cienistości wychodzisz na dziką ścieżkę wijącą się pośród brzeziny. Biel drzew jaśnieje. W lekkim welonie mgły zdają się przemykać znajome postaci. Nagle zastygają, jakby ustawione do rodzinnej fotografii – matka, ojciec, siostry, bracia. Biegiesz ku nim, w wyciągnięte ramiona chwytając pustkę.

Znów błądzisz po bezdrożach w poszukiwaniu zagubionych prawd. W cieniu nocy płaczą żałobne cyprysy.

Jasny poranek rozprasza mrok potokami słońca, strząsa migotliwą rosę z traw, liści i kwiatów. Ptak zachłystuje się wysokim tonem, który dźwięczy i dźwięczy. Błogosławiona chwila...

Przysiadasz na samotnym kamieniu i słuchasz jego milczącej mowy. Roztrząsasz zawilości minionego czasu, dociekasz tajemnicy trwania.

Nagle coś wyrывa cię z zadumy. Śmiech? Biegiesz jesionową aleją, przystajesz pod rozłożystym dębem na trawiastej polanie. Nie opodal bawią się dzieci. Śmiech dźwięczy i dźwięczy...

Próżno jednak wyciągasz ręce – lekki podmuch wiatru rozwiewa obraz, a w jego miejsce wyrasta dąb młody i smukła topola.

Czas już...

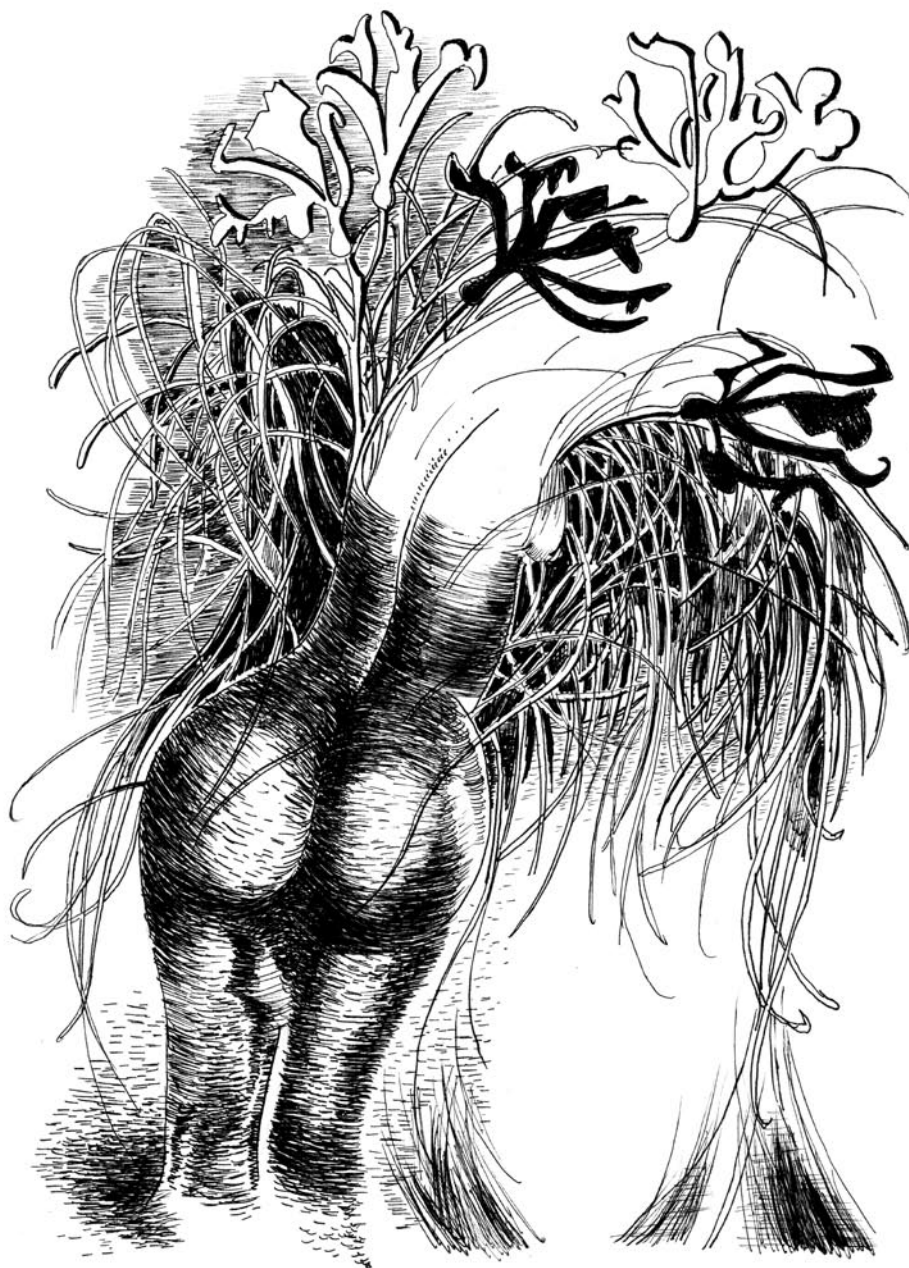
Czas żegnać omszone ruiny widniejące z dala, posąg Fortuny i skalną grootę. Jeszcze tylko spojrzeć na gościnną samotnię, która chroniła przed zgiełkiem świata, przebiec kładkę zawieszoną nad lustrem wody i stanąć przy bramie oplecionej girlandami zieleni i kwiatów z róż.

Mija twój czas...

Pora, by twoja kraina zaludniła się nowym życiem. Wznosiłeś ją w trudzie.

To tu odkryłeś bezmiar szczęścia i otchłań rozpacz, niewysłowione piękno i szaloną rozterkę. To tu zdobyłeś odwagę i pokorną rezygnację. Możesz wyruszyć przed siebie – bez lęku.

Żegnaj, Arkadio!...







Po  
skończenie  
swiata



„Kiedy cię moje oplotą sny –  
jak białe róże –  
nie bój się kochać – ja – i ty  
w nieba lazurze”

Tadeusz Miciński (1873–1918/1919)

„Kain”

## Biała Róża

*Pamięci Bożenki – Białej Róży*

Ujrzał ją w świetle różanego poranka, kiedy niebo uchyliło rąbek błękitu, by w chwilę potem zalśnił wszechogarniającym lazurem. Zadrżało jego serce, rozgorzała czerń oczu. Oto jasnowłosa Izolda, do której dążył wieczność nieskończoną.

Ujrzał ją w obcym kraju, bielszą od śniegów, jaśniejszą od złotych ranków i niespodziewaną tak jak nagła letnia burza.

Rozśpiewała się dusza jego:

*O matko, matko,  
Różę białą masz...  
Ranki i zmierzchy  
W ogrodach moich  
Zakwitną urodą jej.*

I powiódł Różę do kraju dalekiego, między lud swój. Bezczesne morze śpiewnie zaszumiało szmaragdową falą: Witaj!

Piaszczysty brzeg ścielił się pod stopy, a nabrzeżne skały najeżyły się przyjaźnie kamiennym milczeniem.

Zbocza gór skłoniły bujną zieleń, zaś prastare cedry rozcieniły się srebrzyście.

Gajami pomarańczy i mandarynek zapachniały ulice miasta. Jaśniejące bielą i złotem minaretowe kopyły rozdzwoniły się głosami muezinów nawołujących do modlitwy.

Zawołał:

– W promiennym blasku dnia jakże jesteś piękna, Rózo biała!

*O bracia, bracia!  
Do ogrodu mego  
Wkroczyła światłość...  
Radujcie się szczęściem Tristana!*

Weselem i śmiechem gwarnym rozbrzmiewał dom. Jak chlebem dzielono się niesłychaną radością szczęśliwego, a on w zachwycie patrzył na swą Różę, której uroda przyćmiewała najpiękniejsze róże Wschodu i Alzacji.

Jak morskie fale płynął dzień za dniem...

Aż tu nagle Anioł śmierci rozpętał nawałnicę. Wojenne wichry wiały morzem, przetaczały się przez niebo, tłukły ulicami miast, wstrząsały górską krainą. Krwawe łuny rozpałały morską toń, a nieszczęśni ojcowie, utraciwszy synów, zanosili żalosne skargi do Boga:

„Panie nasz!  
Daj nam na tym świecie dobro  
I w życiu ostatecznym dobro!  
I uchron nas od kary ognia!”<sup>4</sup>

Zapłakał:

*Rózo, biała Rózo!  
Oto lud mój  
W wojny pożarze.  
Gdzie kwitło życie,  
Królujecie śmierć.  
Puste oczodoły okien  
Zieją smutkiem.  
W ruinach gnieźdzą się węże,  
A nocą wyją szakale...*

W niszy ramion jasnowłosej łagodniała otchłanna rozpacz. Jej uśmiech przywoływał męstwo i niepłonącą nadzieję, a słowa jak balsam kołły duszę.

Anioł śmierci jeszcze wiele lat przemierzał piękną krainę. Czarne sępy z rozpostartymi skrzydłami spadały z hałasem na żerowiska.

Na przekór wszystkiemu wierna potęga pławiącej się w słońcu natury zapalała mocną iskrę życia, trwania...

Wtedy stało się...

<sup>4</sup> Fragment Koranu

*O matko, matko,  
Różę białą ci oddaję –  
Światłość oczu moich,  
Tkliwą radość duszy,  
Siłę serca –  
Szczęsne szczęście...*

Wicher rozkołysał morską falę, skłoniły się cedry odwieczne, rozśpiewały głosy świętyń.

Zapłakała jasnowłosa. Oto odszedł Tristan, serce jej serca. Z niewypowiedzianym bólem pochyliła się nad ukochanym. Zmartwiałe dłonie rozsypały drżące róże. Białe róże...

### **Leśna opowieść**

Las dyszał od spiekoty. Zmęczone dęby, buki, jesiony i sosny opuściły ramiona. Szara cisza snuła się wokół. Słońce leniwie pobłyskiwało przez zieloność liści. Nagle tu i ówdzie w senne pnie zastukał dzięcioł. Ruda wiewiórka jak ognisty płomyk przemknęła od drzewa do drzewa, wieszcząc niespodziewaną nowinę:

– Goście, mamy gości! Śpiewajmy pieśń powitalną!

Dęby ożywiły się, zamruczały, by po chwili rozszumieć się radosną nutą. Brzozy zadrzały drobnymi dźwiękami, jesiony i buki przyłączyły się rozlewnie, szeroko, a sosny zadzwoniły młodymi pośród igliwia szyszkami. Graby srebrnymi gałązkami niby pałeczkami uderzyły o konary.

Echo pomknęło, zadźwięczało...

Na leśnej dróżce pojawiły się dwie postaci. W tej samej chwili ogromny dąb wykrzyknął:

– To oni, poznaję ich, poznaję!

– Kto? Kto? – drżące pytanie brzóz.

– Jak to kto? Nie pamiętacie? – zdziwiły się buki. – To było dawno, zdaje się – wiosną. Zawodzi nas pamięć.

– To było dawno, macie rację. Pół wieku upłynęło – rozmarzyły się graby. – Spójrzcie na nich. Byli wtedy młodzi, urodziwi. On lekko skłaniał głowę w stronę dziewczyny. Coś mówił. Jej twarz promieniała uśmiechem. On patrzył na nią

ciemnymi oczyma, ona wstydliwie kryła wzrok. Czasem pochylała się nad bukietami zawilców i przyłasczek, pieściła je dłonią – nie dotykając.

– Wiośniane – mówiła ze zwróconą ku niemu twarzą. Jego smutne oczy na krótką chwilę rozjaśniły się. Promień słońca padł na dziewczynę, na nich oboje.

– Jakiś czar spłynął w tamtym momencie na mnie – zaszeleścił stary dąb.  
– Byłem wówczas, jak oni, młody, zielony, radosny.

Zamyślił się nostalgicznie. Drzewa rozgadały się.

– Ciszej, słyszę rozmowę, ciszej – znów zaszeleścił stary dąb.

Kobieta uniosła głowę, ręce wyrzuciła w górę i, obracając się w tanecznym geście, zawołała:

– Witaj, lesie!

Echo biegło daleko, coraz dalej...

– Nie do wiary, jak las urósł – zwróciła się do mężczyzny.

– Tak, pnie drzew strzeliste jak kolumny w leśnym pałacu. Zielone korony są mu dachem, jakże misternym – odpowiedział.

Przystanęli. Mężczyzna ostrożnie objął kobietę, z ufnością przyłgnęła do niego. Trwali tak długą chwilę, w milczeniu, w poczuciu jedności.

Las wstrzymał oddech...

Ona łagodnie dotknęła dłonią jego twarzy, spojrzenie zatopiła w ciemnych oczach i wzruszona stwierdziła:

– Posiwiależ.

– Księżniczka moich snów królową – uśmiechnął się żartobliwie. Podał jej rękę, ruszyli przed siebie.

– Piękni – zaszeptała wiewiórka. – Spójrzcie na jej włosy, ode mnie chyba ich barwa.

– Prosty jak ja – zawtórowała sosna.

Korony drzew pochylły się w zadumie nad tajemnicą przemijania i wieczności.

Płożące się obok dróżki pędy jeżyny przyciągnęły wzrok wędrowców. Ona zerwała granatowo-czarny owoc i na drżącej dłoni podała mu do ust. Wyciągnął ku niej ręce, zagarnął w ramiona, dotknął zapomnianych warg. Z namaszczeniem smakowali swoją zagubioną miłość.

Las zamarł ze wzruszenia. Tylko najbliższe krzaki leszczyny westchnęły głęboko. W gąszcz ich liści zapadały zwierzenia:

- Całe życie tylko siebie...
- Oczekiwanie na siebie – wiecznością...

Leśny świat rozśpiewał się w delikatnym poszumie. Słońce spłynęło z wysoko, by w świetlistym kadrze zatrzymać nieuchwytną moc nieśmiertelności...

### Widzę cię w słońcu

Widzę cię w słońcu, w jasnej rozbielonej ramie, dziewczynę z portretu Berthe'y Morisot. Oślepia mnie snop światła okalający twą postać, która sprawia wrażenie prześwietlonej fotografii. Powietrze drga ledwie uchwytnym migotaniem i odbłaskami. Całym jestestwem wyrywam się ku tobie...

Widzę cię w słońcu... Odchodzisz – w złocistym świetle o niewysłowionej harmonii. Oddalasz się, rozplýwasz w jasności, umykasz jak cień, rozwiewasz jak mgła rwana ziębnącym podmuchem wiatru. Krzyczę każdym nerwem – nie słyszysz! Kryjesz się za gęstą zasłonę czasu. Nagły mrok rozdziera duszę...

Nie widzę cię, choć słońce rumieni wczesne ranki, wtacza się odważnie na niebo i rozpala jego błękit. Sercem szarpie tęsknota...

Puste ramy – po świetlanym portrecie dziewczyny...

Nie widzę cię spoza gór czasu. Daremnie szukam twoich śladów pośród rozpędzonych dni i nocy. Chociaż gwiazdy i księżyc rozświełają drogę, a słońce spływa na nią złotawym poblaskiem, choć ptaki – włóczęgi prowadzą nieomylnym szlakiem – błędzę po bezdrożach.

Może jesteś na krańcu zagubionej rzeczywistości?

Dziewczyno z portretu...

Wciąż widzę cię w słońcu.

## PO SKOŃCZENIE ŚWIATA

### Przebudzenie

„O mój losie!  
Mówią, że jesteś zmienny.  
Jeśli to kłamstwo –  
czemu  
skradłeś mój skarb bezcenny?!”  
(W. Szekspir, *Romeo i Julia*)

Mknę jak wiatr. Przedzieram się przez leśną gęstwinę. Gałęzie krzewów targają biel śmiertelnej szaty. Szeroko otwartymi oczyma ogarniam przedziwny pejzaż. To nie Weronia? Nie grobowiec Kapuletich?

Zbudzona niespodzianie z wiecznego snu szukam swego miłego. Tyle ziem obiegłam, dotkliwy żar palił ciało, ciemny wicher smagał bezlitośnie, mroczna noc wytrzeszczała ślepią, próbując omotać niespokojne serce. Morze zastępowało drogę, ale litościwe fale brały mnie w swoje ramiona i niosły na skalisty brzeg. Rozpaczliwie wołałam:

– Gdzie jesteś?

Tylko echo dźwięczało po górskich szczytach. Z tęsknotą krzyczałam:

– To ja, twoja nieszczęsna Julia, idę do ciebie! Czekasz...

Nieubłagany czas, wieki bez powrotu...

– Gdzie teraz jestem? Ten las, ach, ten las... Mgliste wspomnienie, jak dalekie echa.

Obejmuję srebrzyste pnie grabów, tulę się do chropawej kory sosen, pod mocnym dębem przysiadam bezsilnie. Drżące liście powtarzają mój szept:

– Gdzie jesteś, mój Romeo, gdzie?

Gałęzie gałęziom, liście liściom niosą moje wołanie.

I tylko echo...



## Porzucić sen nieprzespany

„Śniłem,  
że przyszła Julia  
i znalazła mnie martwym;  
Zaczęła całować me wargi  
i tchnęła w nie tyle życia,  
że wstałem z martwych”  
(W. Szekspir, *Romeo i Julia*)

– Ro-me-o-o-o!...

Daleki krzyk rozdziera wiekuistą ciszę, płoszy twarde nieprzespany sen. Głuchy dźwięk drga, rozpływa się w mroku, dociera do zapomnianych przez życie uszu. Narasta, biegnie do serca, dźwiga ciężkie powieki. Wstaję z martwych.

– Ktoś woła? Słyszę swoje imię. To ona! Była tuż obok, na marach. Puste teraz, porzucone... Sen – brat śmierci rozdzielił nas. Kto skradł mi mój skarb bezcenny? Znikła, rozplynęła się jak cień, odeszła jak senne marzenie.

– Byłaś moim życiem, szczęściem. Byłaś mi słońcem, powietrzem, porankiem, dniem i nocą, wszystkim – co najcenniejsze na świecie.

Znów słyszę wołanie...

– Gdzie jesteś, Julio? – Krzykiem rozrywam wieczne ciemności.

– Usłysz mnie! Zawsze i wszędzie byłaś ze mną. Wróć! Ofiaruję ci wszystkie kwiaty świata, całe piękno tej ziemi.

– Ro-me-o-o-o!...

Dalekie echo znów niesie twój głos.

– Podążam za nim! Czekaj...

## Zawsze i wszędzie

„Moja miłość nie ma dna jak ocean.  
... Ja idę, Romeo  
idę już”  
(W. Szekspir, *Romeo i Julia*)

Nieskończenie długo błędzę po lesie. Przyjazne drzewa szumią twoje imię. Różane świty pozdrawiają mnie każdego ranka, a słońce we dnie rozrzuca promienne blaski. Chłodne wieczory otulają mnie ciepłym szalem nocy, a leśne

zagłębienia jak kołyska przygarniają do siebie. Patrę w drgające srebro gwiazd i modłę się żarliwie:

– Siostry nocy, wskażcie mojemu ukochanemu drogę do mnie, a ty, księżycu, wędrujący po świecie, zanieś mu moje wołanie. Niech przybędzie do swej Julii.

I znów jasne ranki rozpoczynają ze mną wędrówkę.

– Idę Romeo, idę już...

Chóry leśnych ptaków śpiewają o tobie. Rudowłosa wiewiórka zbiega z gęstwiny drzew do moich stóp, by dzielić orzech na dwoje. Poranne rosy gaszą pragnienie, a lśniącooka sarna jak dobra przewodniczka wiedzie mnie do ciebie.

Nim ścichną burze, nim zgaśnie słońce, nim spadną gwiazdy z granatowej chusty nieba, zanim kwiat zwiędnie i umilknie ptak, zdrożone serce dotrze do ciebie.

– Ja idę Romeo!...

### Odnajdę twój ślad

„Miłość na wszystko się waży, co  
jest w jej mocy”

(W. Szekspir, Romeo i Julia)

Wołasz mnie. Poznaję twój głos. Biegnie za mną i przede mną. Jest jak daleki dźwięk dzwonu, w który zatopiono najcenniejsze srebro. Kiedy milknie, jeszcze jego szlachetne tony brzmią cicho, coraz ciszej. Wzywają. Ruszam w drogę i żadna z nich nie jest mi straszna. Przemierzam pustynię, samotny wędrowiec spragniony wody. Pustka, złudne miraż, nie ma nikogo, kto zwilżyłby moje spragnione wargi.

Biegnę przez ogień, choć żar pali ciało. Cierpię jak skazaniec na galerach, smagany biczem okrutnego losu. Pokornie błagam niebiosa, to znów krzyczę wiatrom w twarz:

– Oddajcie mi moją młodość, radość, miłość, moją ukochaną Julię. Ona – moim życiem, ona mi niebem, ona – całym światem.

Przedemną dzikość dżungli. Oswoję jej drapieżność, zgłębię tajniki dróg, zaczaruję wieczną urodę i odnajdę twój ślad.

– Julio, tęsknota mojego życia!...

## Po skończenie świata

„Przyjdź nocy łagodna –  
pani  
w czerń powściągliwą odziana,  
naucz mnie  
jak się przegrywa”  
(W. Szekspir, *Romeo i Julia*)

- Słyszę go... A może to tylko wiatr gra na strunach drzew?
- Między rozpaczą a błyskiem nadziei, pod sklepieniem świata widzę ją.
- Przyjdź, żar leje się z nieba, w sercu – płomień.
- Gwiazdy i księżyc, świetliste ranki i słońce wędrujące wysoko, nim zagubi się w szarym chłodzie wieczoru, wiodą mnie do ciebie. Nieomylnie prowadzą deszcze i burze, a łagodne wiatry niosą twój głos.
- Czas niezmierny czekam... To dziwne. Ptaki rozśpiewały się nagle, drzewa rozszumiały. To znak? Na twoje przyjście!
- Julio, jedyna na świecie!
- Romeo, wieki bez ciebie... Włosy twoje pobieleły.
- Błask zgubiły oczy twoje, gwiazdy dwie. Podaj mi dłonie.
- Twoje drżą – jak moje serce. Miły, dziwna jakaś mgła przesłania wzrok. Nie widzę cię. Za późno... Odchodzę w mrok.
- Daj dłoń, idę z tobą. Odpocznij pod tym drzewem. Odrodzisz się wiosną w gęstolistej jego koronie. W porze kwitnienia rozśpiewam się liśćmi dębu. Przy tobie... po skończeniu świata...

## Dialog o miłości

Największe szczęście daje w życiu  
świadomość, że jest się kochanym”

Victor Hugo

*Kochanej Wnuczce, Emilce i Jej Mężowi, Michałowi*

- Jesteś?!
- Tak. Jestem.
- Zjawiłaś się chyba z najjaśniejszej gwiazdy,  
z błękitem nieba w oczach.
- A ty, smagły, z lśnieniem ciemnej  
księżycowej nocy w spojrzeniu.
- Miła moja, na zawsze bliska, zostań...
- Tylko z tobą... Radość o poranku,  
uśmiechy pełne słońca...
- Powędrujemy ziemskimi drogami, ścieżkami,  
drożynami – do własnego domu.
- Niech się stanie!



- Piękna jesteś w ślubnej bieli, z kwiatem we włosach.  
Ślubuję ci miłość i troskę – po skończeniu świata...
- Wierność, czułość, dobroć – w każdej godzinie...
- Szczęście niepojęte. Opuszczamy razem świątynię.  
Spójrz, płatki róż wirują, łagodnie opadają na nas.  
Na bieli sukni i welonu pąsowieją radośnie...
- Ile wokół nas uśmiechniętych twarzy, jaśniejących  
spojrzeń!  
Kochamy was! O, Horacy, nie miałeś racji  
– jest pełne szczęście. Świat skąpany w lipcowym  
słońcu, które sypie świetlistym pyłem...
- Może urodziliśmy się pod szczęśliwą gwiazdą?  
Dla mnie ty – najjaśniejszą...  
Słyszysz muzykę, weselny gwar?

- Chcę z tobą tańczyć – pośród rodziny i przyjaciół.
- Jestem szczęśliwy, przetańczę z tobą noc całą.  
Oczy o zniewalającym spojrzeniu błyszczą ci,  
Wabisz promiennym uśmiechem...
- Tańczy z nami świat, drzewa za oknami,  
Gwiazdy i srebrny księżyc na niebie.  
Miły mój...



- Najmilsza, już ranek. Słońce rzuciło snopy światła,  
Wszystko tonie w złotej ulewie. Chodźmy  
Na spotkanie dnia. Jesteś moim słońcem...  
Porywam cię w sentymentalną podróż – do  
bliskich miejsc.
- Zgoda!
- Pojazd czeka...
- Limuzyna? Księżę mój, nie karoca, z białymi rumakami?
- Podaj dłoń, moja księżniczko, zajmij miejsce obok mnie.
- Z tobą choćby na koniec świata!...
- W drogę!...

Łagodny wietrzyk igrał swawolnie z welonem...

- Zamknij na chwilę oczy – przerwa w podróży.
- O, Brama Krakowska?!  
„Na wieży furkotał blaszany kogucik,  
na drugiej zegar nucił.”<sup>5</sup>
- Słyszysz muzykę Starego Miasta?  
Wejźdźmy w cienistość Bramy.  
Jaśniej od twojego uśmiechu i ślubnej bieli...



<sup>5</sup> Józef Czechowicz – fragment wiersza *Lublin z dala* z cyklu *Stare kamienie*



- Już rynek – lubię to miejsce. Pójdę z tobą –  
zacisznymi uliczkami, z których wyłania się  
dawność, świetność, czasem dramatyczne chwile,  
niełatwe losy człowieka...
- Pięknie tu, prawda?  
Chodźmy dalej. Spójrz...

– Teatr im. Christiana Andersena –  
odnowiony! Wyobraź sobie, że jesteśmy na scenie...

– Słuchaj więc:

„Na skrzydłach miłości

Lekko, bezpiecznie mur ten przesadziłem,

Bo miłość nie zna żadnych tam i granic...”

– „... moja miłość równie jest głęboka

Jak morze, równie jak ono bez końca...”

– „O, Julio...”

– „Najmilszy, pomnij być stałym!”

– „O, Julio,

Przysięgam...”<sup>6</sup>

– Wierzę w twoją miłość...



- Drogi mój, chodźmy spojrzeć  
Na rozległą bryłę budowli na wzgórzu.
- „Zamek jak statek, co w burzy  
utracił ster, żagle i maszty,  
martwo na białej górze  
spoczywa w cieniu swej baszty”<sup>7</sup>
- W jego murach zakłeta przeszłość Lu  
blina.  
Niezwykły!

<sup>6</sup> Fragmenty dramatu Szekspira *Romeo i Julia*, akt drugi, scena druga

<sup>7</sup> Fragment utworu Józefa Czechowicza *Zimowe uroki* z cyklu *Wiersze dla dzieci*

- Pora udać się w dalszą drogę.
- Dokąd?
- Niespodzianka!

Pomknęli w słońce, które ochoczo zsyłało swój blask na serca pełne miłości.



- Kres podróży! Podaj dłoń. Idźmy!  
Słyszysz muzyczne tony powitalne łaskawej  
Natury? Wszystko nam śpiewa...
- Tak, drzewa, krzewy i bajeczny dywan kwiatowy, w tle piękny pałac – Kozłówka!
- Tak. Ile tu urody! Wśród zieleni  
i barwnego kwiecica tyś najpiękniejsza Róża.  
Ofiaruję ci wszystkie kwiaty świata –  
życie przed nami...
- Jesteś moim szczęściem, siłą, nadzieją...

Rozśpiewały się ptaki, rozszeptaly drzewa, a niebo spłynęło błękitem...





Był taki  
czas



## W czas kwitnienia

Patrzę przez okno na majowy sad cały w bieli. Bieluśkie kwiaty wiśni, śliw, grusz i czereśni. Gałęzie jabłoni aż uginają się od leciutko różowiejącego kwiecica. Cisza rozsiadła się pod jasnymi baldachimami drzew, przemyka między nimi, aby wyrzeć zza ogrodzenia na płytką rzeczulkę ze złotym piaskiem na dnie i na chwilę przysiąść na nieco wyżej biegnącej drodze.

Odurzający zapach wdziera się do pokoju. Tu też cicho. Wszyscy czekają. Wyczuwam niepokój i trwogę.

Ach, uciec, uciec od tego, w marzenia...

Zamykam oczy i nagle widzę, jak drzewa drzewom podają gałęzie, niczym tańczące pary – ręce. Zaczynają wirować w rytm łagodnej wiosennej muzyki. Kwiaty unoszą się swobodnie i fruują niby połykujące w słońcu punkciki.

Już biegnę, biegnę do was! Chcę tańczyć...

Wtem słyszę jakiś dziwny poszum. Dopadam drugiego okna. Środkiem drogi w niesamowitym milczeniu kroczy tłum. Po obu jego stronach zielone postacie. Karabiny gotowe do strzału. W jednej chwili rośnie paraliżujący strach...

W pewnym momencie widzę, że od tłumy odrywają się dwa zielone mundury.

– Mamo! – krzyczę przeraźliwie. – Idą w stronę naszego domu! Ciemne lufy karabinów skierowane na nas!

Mocno zaciskam powieki. Niech się stanie cud! Czary jakieś... O, tak! Wytrącam z wrogich rąk broń. Droga, gdzie przed chwilą – chmara ludzi – znów zalana słońcem. Ktoś bierze mnie za rękę. To mama. Mówi, że musimy iść tam, gdzie inni.

Otwieram oczy i znów dostrzegam mrowie ludzi. Zielone mundury wrzeszczą:

– Alle raus! Alle raus! Schnell! Schneller!

Wychodzimy pospiesznie – rodzice, mąż siostry, dwaj bracia i ja. Na szczęście reszty domowników nie ma.

Spotkanie z idącymi z przeciwka żandarmami przejmuję mnie panicznym lękiem. Ojciec zna niemiecki (w czasie I wojny światowej wcielony do armii austriackiej), tłumaczy przyczynę naszej opieszałości.

Płaczę ze strachu, drżę, kurczowo trzymając dłoń mamy. Eskorta niemiecka

ponała. Dołączamy do tłumu. Milczymy...

Potykam się nieustannie, przerażona tym, co może nastąpić.

Po lewej stronie drogi stoi moja szkoła z ogromną kłódką w drzwiach. Gdyby tak... Myśl biegnie do najciemniejszej sali za zamkniętymi drzwiami. Jak we śnie, który prześladuje mnie często, unoszę się w górę, coraz wyżej i wyżej. Szybuję lekko, bezpieczna i niewidzialna dla nikogo. Nawet dla oprawców. Wśliznę się przez okno, schowam. Nikt mnie nie znajdzie...

– Ach, a rodzice, bracia! Co z nimi będzie? – mówię prawie głośno.

Przytulona do mamy otwieram oczy – nigdzie nie da się uciec. Padam na ziemię. Mama dźwiga mnie i chwyta na ręce. Obejmuję ją mocno.

Liczba pędzonych rośnie. Mijamy zabudowania po obu stronach drogi. Wrzask Niemców wdziera się w uszy, atakuje każdy nerw.

A rzeczulka płynie sobie spokojnie.

– Co to? – pytam mamę, czując przykrą woń spalenizny.

– Pali się dom Lipców – odpowiedź ledwie słyszalna.

Idę znów obok mamy.

– Co z nimi?

– Lipiec uciekł wcześniej. Ktoś mówił, że jego żona wpadła do płonącego domu i wyniosła dziecko, które spało w kołysce. Szczęście, że żandarmi...! Byłoby po nich...

Nagle blisko, bliźniutko – seria strzałów. Boże! Wokół Fredka starszego ode mnie! Wysunął się zanadto z tłumu.

– Mamo, mamo!

Piasek, ziemia, rozpryskujące się strużki wody z płynącej środkiem drogi rzeczki strzelają wysoko.

Mocno zaciskam powieki. Widzę, jak Fredek wyprostowany, z rozkrzyżowanymi rękami unosi się w górę, a w chwilę potem gęsta zasłona – może z obłoków, może z dymu – odgradza go od wszystkich.

Uratuje się, uratuje! Co za ulga...

Wtedy mama nachyla się ku mnie i szepcze, że Fredkowi nic się nie stało. Czyjeś ręce wciągnęły go do środka idącej gromady.

Droga rozwidla się. Domy po prawej stronie oddala pas zieleni biegnącej środkiem. Wrzaskliwe krzyki kierują tłum na lewą stronę – wzdłuż krynicznego strumyka. Mijamy chałupy rozrzucone na coraz bardziej wznoszącym się stoku.

Tu mieszka Danusia, moja starsza koleżanka. Przypomnienie niesie obrazy wspólnych zabaw.

Nagły dreszcz wstrząsa mną. Rosną krzyki:

– Złodzieje naprzód, k... z tyłu!

– Mamo, dokąd, dokąd? Dlaczego?

Przerażona wciskam swoją dłoń w rękę mamy, aż do bólu. Widzę bezradne spojrzenie, które usiłuje nakazać spokój.

Nie umknę, nie ucieknę już nigdzie – myślę.

Rzeczko, rzeczku, tak dobrze było brodzić w twoim chłodzie, czuć piasek pod stopami. Może już nigdy...

Docieramy do miejsca przeznaczenia. Za rzeczką, na prawo duży trawiasty plac, majowa zieleń. Przemykam oczy, zagłębiam się bosymi stopami w miękkość trawy, padam w jej chłód, by po chwili turlać się, patrzeć w niebo, to znów w mrok i bliskość ziemi. Jak dobrze...

I wtedy zaczyna się dzieć coś strasznego. Ojca nie ma już przy nas, musiał dołączyć do starszych mężczyzn stłoczonych tuż za młodymi.

Moje serce ściśnięte śmiertelną trwogą. Mama ogarnia mnie ramieniem. Bracia milczą, gdy niespokojnym szeptem pytam:

– Mamo, czy tatuś jeszcze jest?

– Tak, nie bój się.

Gardłowy krzyk gasi jasne światło dnia. Jakieś papiery w rękach żandarmów. Oniemiały tłum czeka. Padają nazwiska:

– Agata Kowalczyk!

To mama Staszka. Wychodzi posłusznie, przekracza moją rzeczkę, rzeczulkę. Już jest na zieleni murawy. Kładzie się twarzą do ziemi, nieruchomieje...

Ziemi, dobra ziemi, otwórz się, skryj ją w swojej głębi – modlę się żarliwie. Pod wilgotną powieką przetacza się dziwny obraz. Pęka ziemia, przygarnia nieszczęsną i zamyka się nad nią.

Otwieram oczy... Ach, mama Staszka leży nadal. Obok niej ktoś następny. Nie słyszałam nazwiska. Drętwieję ze strachu.

Złowieszczy głos wyrokuję:

– Antyga, Batiuk, Burdan, Brzozowski, Kamiński, Kalman, Kalita, Huk, Naklicki, Naklicka, Olechow, Saran, Zalichta... za współpracę z partyzantami.

Mama płacze. Moje serce tłucze się gwałtownie.

Kilkanaście rzuconych ciał, z rękami rozkrzyżowanymi, przyciśniętymi do boków lub uniesionymi nad głowami. Milcząca samotność i długie oczekiwanie na głuche odgłosy strzałów.

Nie słyszę ich, nie słyszę. W myślach biegnę zalekniona tam, skąd się nie wraca.

W samym środku dnia słońce gaśnie, zamiera. Ciemność...

A jednak jestem, jesteśmy. Nie wiem, jak docieramy do domu. Splądrowano go. Mąż siostry pognany z innymi na Majdanek.

Znów stoję w oknie. Patrzę na majowy biały sad. Pora kwitnienia. Gorzki zapach. Nie biegnę tańczyć z okwieconymi drzewami. Mocno, bardzo mocno znów zaciskam powieki.

Zadziwiona widzę, jak w jednej chwili wszystkie kwiaty z nagłym furkotem ulatują białą kurzawą wysoko, pod błękitne niebo. Szybują nad domami, płytką rzeczka, szeroką drogą, tam, gdzie w mroku dnia spoczywają – oni. Biały obłok nieruchomieje na moment, by w chwilę potem zacząć wolno, wolniutko opadać na pogrążonych w wiecznej ciszy. Kwiaty sypią się i sypią. Widzę już tylko śnieżnobiałe wzniesienie...

*Działo się 20 maja 1942 r.  
we wsi Kryniczki, powiat Krasnystaw*

## Wiejska droga

Wiejska droga słońcem, wyłożona moja Via Sacra...<sup>8</sup> Via Appia...<sup>9</sup> Wiodłaś dziecięce stopy do bliskich światów nieznanymi. Rzeczka, rzeczka ze złotym piaskiem na dnie obmywała łagodnie twoje brzegi, śpiewała szmerliwie lekkim poszumem, lśniła w słońcu niebieskawą szarością. Wiłaś się, drogo, przyjazną szerokością pośród wiejskiego pejzażu. Po obu stronach mijałaś chaty skryte pośród zieleni zadumanych ogrodów, przydrożny krzyż tu i ówdzie wyciągał ramiona. W pewnym miejscu skręcałaś w prawo, leciutko wspinałaś się nieco wyżej, by rozwidlić się nagle, rozstać ze strumykiem, który potoczył się w lewą stronę bocznej drogi, a ty, moja Święta Drogo, biegłaś do życiodajnego źródła, by zgubić się tam.

<sup>8</sup> Via Appia – Droga Appijska, najstarsza i najsłynniejsza droga rzymska, zwana „królową dróg” (łac. regina viarum).

<sup>9</sup> Via Sacra – Droga Święta – ulica w starożytnym Rzymie, którą kroczyły uroczyste pochody i triumfalne pochody wodzów do świątyni Jowisza na Kapitolu.

Wody źródła mieniły się srebrzyście u stóp skarpy, na szczycie której rozsia-  
dły się w cieniu drzew wiejskie domostwa. Do nich prowadziły wąskie dróżki,  
życzliwe drożyny.

A ty strumyku – pamiętasz? Czas majowego kwitnienia w 1942 r.?... Na wiej-  
skiej drodze, wyłożonej słońcem – milczący tłum, ciche niebo rozsiewa swój  
błękit, a mnie zdało się, że noc czarna nagle zapadła. Rzeczeko, rzeczułko, choć  
wody twoje nie spłynęły krwią, byłaś świadkiem nieludzkiego czasu. Żegnając  
zalaną słońcem wiejską drogę po raz ostatni kolejno przekraczają strumyk, by  
twarzą do ziemi spocząć na zieloności murawy, spojrzeć w jej głąb i w huku wy-  
strzałów odejść w smugę śmiertelnego cienia... Wiejska drogo, nie zapomnij... Ja  
zawsze biegnę twoim szlakiem, potykam się u rozstajnych dróg, znów dążę przed  
siebie i szukam jedynie słusznej drogi.

Wracam jednak na moją bliską drogę dzieciństwa, drogę wyłożoną słoń-  
cem... Tu ślady Matki, Ojca, Sióstr i Braci i tych, co w porze kwitnienia ode-  
szli...

### Lamentacja

(Pamięci kilku tysięcy ofiar Holocaustu w latach 1942–1943, spoczywających na  
kirkucie w Izbicy, w powiecie krasnostawskim)

*„Śmierć wtargnęła przez nasze okna,  
weszła do naszych pałaców,  
zgładziła dziecko z ulicy,  
a młodzieńców z placów.”*

Księga Jeremiasza 9.20.

Biblia Tysiąclecia

Poznań – Warszawa, 1980 r.

Słońce strzela promieniami, sypie świetlistym pyłem, a twoje serce mroczy  
się. Ścieżką pnąca się pod górę zstępujesz do Szeolu. Wionęło chłodem wśród  
drzew, ptaki uleciały z trzepotem. Z drzeniem przekraczasz wrota śmierci.

Otwórzcie się niebiosa wiosenne, letnie, listopadowe, płaczcie żałobną

nutą...

Słyszysz? Gwizd lokomotywy, zgrzyt hamulców. Z towarowych wagonów wylewa się trwożna, bezładna wrzawa – ucisza się, to znów rośnie, wybucha krzykiem, lamentem. Kroczy sennymi zmartwiałyymi uliczkami miasteczka, płynie powietrzem nabrzmiałym daremnym wołaniem.

– Panie, nakłoń ucha, schroń pod swoje skrzydła!

Widzisz ich owianych tchnieniem śmierci.

Drzewa wysokie – płaczki żałobne, unieście ramiona ku niebu, rozszumcie się żalosnym zawodzeniem, rońcie liściaste łzy – jak matki, które tracą swoje dzieci. Słońce zgaśnie nad nimi, nie ogrzeje, nie zdąży wyrosnąć jako te trawy zielone i kwiaty barwne.

– Mame, tate, dokąd, dlaczego?

– Saro, Judyto, Dawidzie, Salomonie, już was nasze oczy nie ujrzą w zapamiętałym tańcu weselnym. Nie rozbłyśnicie urodą i mądrością, nie zaśmiejecie się srebrzystymi dźwiękami.

– O Panie, nie zagramy Ci na harfie i cytrze, nie będziemy chwalić bębniem, tańcem i pieśnią. Anioł śmierci rozpostarł nad nami swe skrzydła.

– Ptaku przelotny, daremny twój krzyk – uleć, obiegnij ziemię, szukaj schronienia od szalejącej wichury.

„Dosięły nas pęta Szeolu!”<sup>10</sup>

– Panie, słyszysz, zarośla szepczą żałośnie, wiatr rozchwiał strwożone konary drzew, słońce zachodzi krwawo za obłoki nagle szerniałe. Jeszcze uszy słyszą, oczy widzą – czeluść grobową. Jeszcze spojrzenia chwytają upiorną zieleń mundurów, śmiertcioną broń.

– „Lud twój, o Panie, depczą”<sup>11</sup>

Przyjmij go!

– Bracia, chwycmy się za ręce, razem patrzmy śmierci w oczy.

Nagły trzask, huk – ciała jak snopy walą się w objęcia chłodnej ziemi.

Przejmujący jęk, wołanie, głuchy krzyk i – cisza. Wieczna cisza...

Niebo zapłakało listopadowym deszczem...

<sup>10</sup> Księga Psalmów, cytat z Ps. 116; Szeol – śmierć

<sup>11</sup> Księga Psalmów, cytat z Ps. 57



## Zapach tataraku

*Pamięci ukochanej siostry Zofii*

Biegła przed siebie środkiem brukowanej wyboistej drogi. W nozdrza wdierał się świeży zapach majowej zieleni. Noc wyjątkowo ciepła. Księżyc wtoczył się na niebo, oświetlając drogę, a drzewa, rosnące po obu jej stronach, kładły się wydłużonymi cieniami. Lekki podmuch wiatru kołysał konarami, ich cienie jak widma rzucały się w pogoń za dziewczyną.

W nocnym mroku czuła się bezpiecznie. Jedynie szczekanie psów narzucało myśl, że przecież są tu gdzieś ludzie. Wokół jednak nieruchoma pustka, nigdzie ni światełka.

Zmęczona przysiadła na chwilę na poboczu. Chłodna trawa była ulgą dla rozgrzanego pędem ciała. Dziewczyna przymknęła oczy. Przez jej głowę jak burza przelatywały obrazy.

Oto słyszy:

– Halt! Stój!

Dom tuż, tuż... Za późno.

– Złapali mnie, dopadli – pomyślała.

Dwaj mężczyźni chwycili ją pod ręce. Łamana polszczyzna. Zrozumiała, że może pożegnać się z rodziną i zabrać niezbędne rzeczy. Będzie pracować u Niemca w Starym Zamościu.

Wpadła do domu, chwyciła trochę odzienia, związała w tłumoczek. Zaskoczona i płaczącą matkę uspokajała jakimiś strzępami zdań. Uściskała rodzeństwo. Wybiegła z domu i po chwili siedziała na wozie obok młodzietki Marii i Tadeusza, których również zatrzymano. Milczeli wszyscy troje, przytłoczeni niepewnym jutrem.

Gdy dotarli na miejsce, zapadał już zimowy mrok. Dom Hansa był duży, obok niego przestronna stodoła i obora. Gospodyni jeszcze młoda, ale pozbawiona urody, jakaś szara i bezbarwna. Wskazała przybyłym małą izdebkę do spania. Zaskoczeni niespodziewanym losem niewiele rozmawiali. Zziębnięci, głodni, pełni ciężkich myśli zasnęli.

Zosia miała przed oczyma przerażoną matczyną twarz. Zmęczona zapadła w sen.

Ranek wstał nagle, nim zdążyli wypocząć. Przełękali w pośpiechu skromny posiłek i słuchali gospodarzy, którzy tłumaczyli gardłowym głosem i niewyraźną

polszczyzną, jakie są ich obowiązki.

Dziewczyna otworzyła oczy. Poczowała wilgoć trawy. Poderwała się gwałtownie. Ach, to tylko wspomnienia...

Znów biegła – w ciszy, która rozdzwoniła się w nocnych ciemnościach.

Wkrótce zwolniła nieco. Serce biło szybko i boleśnie, jak wtedy, gdy zaczynała życie w obcym domu. Zaciskała dłonie z uczuciem beznadziejnej niechęci na widok bauera i jego kobiety. Ta widocznie upodobała ją sobie, bo odtąd Zofia miała być jej pomocnicą. Pracowita i energiczna, dość szybko zaskarbiła sobie nawet pewne zaufanie gospodyni.

Zdarzyło się kiedyś, że kobieta kazała jej iść za sobą na strych. Zdziwionej wskazała wiszącą i leżącą bezładnie garderobę.

– Weź – mówiła z bezbarwnym uśmiechem.

Dziewczyna wzdrygnęła się i gwałtownie kręciła głową, że nie chce, nie potrzebuje, nie weźmie. Przez głowę przemknęło dopiero teraz pytanie:

– Ciekawe, do kogo w niedalekiej przeszłości należał dom?

Towarzyszyły temu niejasne myśli. Prawie była pewna, skąd pochodzi odzież. Słyszała przecież opowieści o masowych rozstrzelaniach. Jakże często dochodziły z oddali pojedyncze strzały lub seria po serii.

Jeszcze teraz zaciskały się pięści. Zofia przyspieszyła kroku, by po chwili ruszyć biegiem. Wspomnienia sprawiały, że doznawała dziwnego lęku. Księżyc skrył się za chmury, z trudem widziała przed sobą drogę. Przystanąła, by odpocząć.

Znów napatoczył się jeden z obrazów. Któregoś dnia w domu Hansa zapanał rwetes. Oczekiwano wizyty wysokiej rangi oficera. Zofia uwijała się w kuchni, w której zapach pieczonego mięsiva mieszał się z delikatną wonią ciasta. Nawet Maria i Tadeusz włączeni zostali w rozliczne obowiązki. Gospodyni po raz pierwszy uśmiechała się przyjaźnie i w jednej chwili wyładniała – w świątecznej sukience i z włosami upiętymi wysoko.

Wieczorem zjawił się gość. Gospodarze rozpływali się w uprzejmościach.

Zofii wydawało się, gdy patrzyła na siedzących za stołem, że to zwykła kolacja. Obie z Marią podawały potrawy, zmieniały nakrycia, nalewały trunku do lśniących kielichów.

Mundur oficera SS, swastyka, broń za pasem były jak ostrzeżenie.

Alkohol czynił swoje. Twarz oficera poczerwieniała, głos stał się donośniej-

szy. Z obleśnym uśmiechem wodził małymi oczkami za młodziutką Marią. Czasem wyciągał rękę, by ją poklepać po szczupłych pośladkach. Dziewczyna chichotała – zarumieniona i wyraźnie podniecona całą sytuacją.

Oczy Zofii rzucały wściekle błyskawice. Karcącym wzrokiem usiłowała ciśnąć Marii:

– Przestań szczyrzyć zęby do SS-mana! Wstydz się.

Oficer poczynął sobie coraz śmieiej, a Maria śmiała się coraz hałaśliwiej. Gdy żandarm ścisnął ją mocno za ramię, nagle przestraszyła się, oprzytomniała i uciekła do izdebki.

Po pewnym czasie wpadła Zofia, wołając od progu:

– Prędko! Schowaj się! Szuka cię i jest wściekle zły. Chodź, ukryjesz się u Tadeusza.

Przerażoną Marię popchnęła przed siebie, do małej klitki. Tadeusz zerwał się z łóżka. Usłyszawszy, co się dzieje, kazał Marii skryć się w pościeli. Zofia pobiegła do gospodyni i szeptem wywołała ją do kuchni.

Gdy oficer miotał się po domu, ona błagała kobietę Hansa o pomoc:

– Powiedźcie, że Maria jest żoną Tadeusza, uspokójcie swego gościa, proszę, bardzo proszę...

– Dobrze – padła krótka odpowiedź.

Maria miała wiele szczęścia, gospodyni dotrzymała słowa. Zdaje się, że na zbyt często dolewała gościowi alkohol do kielicha, zagadywała hałaśliwie dotąd, aż oficer spoczął ciężko na krześle i, bełkocząc coraz wolniej, nagle zasnął. Oboje z Hansem dźwignęli swego gościa i ułożyli na kozetce w sąsiednim pokoju.

Rankiem już go nie było...

Księżyc znowu rozlewał jasność na drogę, a drzewa rosły w olbrzymy, ruchome, ciemne. Zofia ocknęła się. Potrząsnęła głową, zrzucając z siebie natrętne myśli i obrazy. Ruszyła wolno, krokiem nieco ciężkim.

– Już niedaleko – pomyślała z ulgą.

Z ciemności wypłynęła sylwetka Tadeusza. Poczuła wzruszenie. Pamięta go jako niezwykle zrównoważonego młodzieńca, który uważał na każde słowo, często popadał w zadumę. Zdarzało się, że wymykał się z domu i znikał na krótko.

Gdyby nie tamten proroczy sen, nie poznałaby go tak dobrze. Jednej nocy długo nie mogła zasnąć. Wpatrywała się w ciemność – udręczona i niespokojna. Kiedy wreszcie pogrzyżyła się we śnie, męczyły ją koszmary. Niewiele pamiętała,

ale utkwiał jej mocno niesamowity, tajemniczy głos, zwielokrotniony echem:

– Idź do stodoły. Prawa strona, w samym rogu. Idź...

Kiedy nastał ranek, nieustannie biegł za nią ten głos. Udało jej się wymknąć z domu niepostrzeżenie. Tknięta dziwnym przecuciem, weszła do stodoły, wdrapała się na stos słomy i gorączkowo szukała pod drewnianym sklepieniem dachu. Ręka natrafiła na jakieś zawiniątko. Jest! Rozwinęła materiał i... przejęło ją uczucie trwogi. Płatanina myśli. Do kogo należał ów przedmiot? Toż to pewna śmierć, jeśli ktoś z rodziny Hansa odkryje zawartość zawiniątko. Ostrożnie wzięła do ręki mały pistolet. W lesie nauczono ją strzelania. Położyła palec na cynglu, podniosła broń do oka. Co z tym począć? Nie można nikogo narażać na niebezpieczeństwo. Ostrożnie i mocno zawinęła broń i przeniosła w inne miejsce.

Opuściła stodołę. Kiedy weszła do kuchni, gospodyni obrzuciła ją przenikliwym spojrzeniem, aż na nowo zdrząła. Starła się zachować swobodę ruchów i obojętny wyraz twarzy, choć skronie pulsowały, a serce tłukło się niespokojnie.

Wieczorem, znalazłszy się na chwilę obok Tadeusza, zdążyła szepnąć:

– Muszę z tobą pomówić.

Oczami dał jej znak, by udała się z nim do pomieszczenia, a którym miał swoje schronienie. Patrzył na nią pytająco i wreszcie rzucił krótko:

– Mów...

Zofia zatrzymała się nagle. Zamieniła się w słuch. Wyrwana ze wspomnień usłyszała głucho w nocnej ciszy strzały. Jeden... Dwa... Krótka seria! Baczenie rozejrzała się na wszystkie strony. To gdzieś dalej... Przy nikłym blasku księżyca nie widziała nikogo. Przejęło ją zimno. Dusiły łyzy. Ruszyła w drogę – szybko, coraz szybciej. Cienie drzew biegły za nią jak nocne widziadła.

Wspomnienia owładnęły nią na nowo. Głos Tadeusza:

– Mów...

– Przysięgnij, że nie zdradzisz nikomu tego, co ci powiem.

Uśmiechnął się. Nie ustępowała. Wyczekująco patrzyła pałającymi oczyma.

– Zaklinam się na honor, na wszystkie świętości – odezwał się poważnie.

Chwilę milczała, a potem szybko, cichym głosem opowiedziała o swoim śnie i znalezisku. Patrzył na dziewczynę długo, nim odezwał się:

– A teraz ty przysięgnij...

– Przysięgam na Boga i matkę – uczyniła znak krzyża.

– Zosiu, to moja broń. Mam jeszcze schowaną małą radiostację.

Nieomal krzyknęła. Rumieńce oblały jej twarz, a chłopak mówił:

– Bo widzisz, jestem w Batalionach Chłopskich. Niedawno otrzymałem rozkaz przewiezienia radiostacji do Chełma. W pierwszych dniach maja nadejdzie fałszywy telegram o pogrzebie kogoś z rodziny, może uda mi się uzyskać zgodę na wyjazd.

Dziewczyna nie spuszczała z mówiącego wzroku. Teraz rozumiała przyczynę jego tajemniczych nieobecności, ostrożność w rozmowach.

– Słuchaj, coś wymyślę. Pomogę ci w podróży – uśmiechnęła się szeroko, kiedy powiedziała Tadeuszowi o tym, że jest jedną „z lasu”, z tego samego ugrupowania i mężczy ją długa bezczynność. Okazał nie mniejsze, niż ona przed chwilą, zdziwienie.

Szeptali jeszcze długo...

– Niezatarcie wspomnienie – zdziwiła się własnym głosem. Zdała sobie sprawę, że jest zmęczona i zziębnięta. Dotarła wreszcie do domu stojącego na skraju drogi. Niecierpliwie zastukała w okno. Nic, żadnego dźwięku. Spróbowała jeszcze raz. Wewnątrz niespokojne zamieszanie, cisza i męski głos:

– Kto tam?

– Otwórzcie!

– To ty, Zosiu? – znajomy kobiecy głos podziałał na dziewczynę łagodząco. Poczowała straszliwe zmęczenie i ciężar w nogach. Zapachniało zielono, majowo...

– Tatarak? – wyszeptwała. W nagłym błysku zobaczyła stawy w rodzinnej stronie. Woda marszczyła się lekko, a nadbrzeżne trzciny kołysały się cichutko, szmerliwie... Były tak blisko, wystarczyło wyciągnąć rękę ...

Drzwi zaskrzypiały przyjaźnie i jakieś ręce wciągnęły ją do środka.

– Co się stało? – zapytał mężczyzna, podczas, gdy jego żona narzucała na siebie przyodziewek i zapalała naftową lampę, zasłaniając szczelnie okno.

Izba pachniała tatarakiem i gałązkami młodziutkiej brzozy, która miała święty obraz nad łóżkiem. Zofia przypomniała sobie, że za dwa dni Zielone Świąta. Zapach tataraku, twarz matki... Opanowała dławiące łzy.

– To wy nic nie wiecie?

Pytanie dziewczyny skwitowali milczącym zdziwieniem. Zaczęła w gorączkowym pośpiechu mówić. Kilka dni wcześniej rozeszła się pogłoska, że od wschodu nadciąga wojsko radzieckie. W rodzinie Hansa wyczuwało się trwoż-

ny niepokój. Zofia pomagała gospodyni w pakowaniu różnych rzeczy. Nie denerwowała się. Tej nocy zasnęła mocno. Obudziło ją szczekanie psa. Kiedy przeszło w przeciągłe wycie, wstała, zapaliła lampę i opuściła swój pokój. Drzwi do kuchni i innych pomieszczeń były otwarte. Podniosła lampę wyżej i ostrożnie zajrzała do pokoju gospodarzy. Nikogo! Obok również pusto, pewien nieład świadczył o tym, że dom porzucono w pośpiechu. Dziwne, że niczego nie słyszała.

Dziewczyna pojęła, że jest zupełnie sama. Marię udało się rodzicom odzyskać w ostatnich dniach kwietnia. Tadeusz odjechał do Chełma w pierwszych dniach maja i przepadł bez wieści. Daremnie go oczekiwano, w końcu Hans pogodził się ze stratą robotnika.

Zofia nie zastanawiała się długo. Ubrała się w pośpiechu. Postanowiła uciekać, w drogę wyruszyła natychmiast.

– Pomyślałam, że muszę was ostrzec. Uciekajcie razem ze mną – powiedziała przyjaciołom.

Zapadło długie milczenie. Pierwszy odezwał się Stefan:

– Nie, zostaniemy tu. Dokąd moglibyśmy wyruszyć? Będzie, co ma być. Popatrzył na żonę. Ze smutkiem uśmiechnęła się do niego. Trudno. Zostaną...

Helena nakarmiła Zofię, przygotowała nieco pożywienia na drogę i namówiła ją na krótki sen przed pieszą wędrówką. Zbudziła dziewczynę o świtaniu. Na pożegnanie objęła serdecznie, a Stefan odprowadził ją za granice Zamościa.

– Uważaj na siebie, idź polami. Niech cię Bóg prowadzi – powiedział przed rozstaniem.

Wkrótce znalazła się na polnej drodze. Rozwidniało się. W chłodnym poranku poczuła się rześko. Łagodne pagórki przywodziły na myśl bliski pejzaż. Ziemia pachniała wiosennie. Rosochate grusze na miedzach białeły majowym kwieciami. Młodziutkie trawy i zboża miały barwę jasnej zieleni.

Na początku maja, gdy wsiadła do pociągu z Tadeuszem, mijała pola jeszcze szare, owiane lekką mgłą.

Tak, udało jej się wyprosić dwa dni na wyjazd do rzekomej ciotki. Przekonała żonę Hansa, że z Tadeuszem będzie jej raźniej podróżować.

Pociąg sunął powoli. Im dalej, tym bardziej stawał się zatłoczony. Siedzieli na twardej ławce w przedziale, w którym Zofia znalazła wygodne miejsce przy oknie. Nie rozmawiała z towarzyszem podróży. Tuż przy nogach postawiła kar-

tonowe pudło, związane byle jak sznurkiem. Zdjęła gruby zakiet i powiesiła przy samym oknie.

W jedynej świątecznej sukience wyglądała na tyle ładnie, że ten i ów rzucał na nią spojrzeniem. Uśmiechała się, chcąc dodać sobie odwagi, a jej sarnie oczy patrzyły połyskliwie.

Kiedy pociąg mijał Izbicę, wpadła w popłoch. W czasie krótkiego postoju na stacji podróżni usłyszeli strzelaninę. Ona i jej towarzysz domyślali się, skąd dobiegają strzały – izbicki kirkut był miejscem częstych egzekucji Żydów.

Kiedys, po powrocie matki z miasteczka patrzyła na jej zbielełą twarz, sine i drżące ręce – zatrzymana przez żandarmów razem z innymi przechodniami musiała być świadkiem okrutnego mordu. Przez kilka dni nie mogła dojść do siebie.

Pociąg nabrał pędu za Krasnymstawem. Przed samym Rejowcem nagle zaczęto powtarzać wiadomość:

– Kontrola! Rewizja!

Zofia zmartwiała. Tadeusz spojrział na nią wymownie, próbował uśmiechnąć się uspokajająco.

Dwaj żandarmi wkroczyli do przedziału. Sprawdzali dokumenty, zaglądali do walizek. Obmacywali ubranie Tadeusza.

– Jest czysty. Papiery w porządku – dziewczyna z ulgą pocieszyła się w myślach.

W tym samym momencie jeden z żandarmów wskazał na pudło:

– Czyje?

– Moje – ze swobodą odezwała się, odważnie patrząc Niemcowi w twarz. Policzki jej nabrały rumieńców. Czarne oczy kokieteryjnie mierzyły się ze wzrokiem żandarma, którego martwa twarz ożywiła się naraz. Obmacywał ciało dziewczyny, ona przyciągała go wzrokiem jak magnes. Patrzył teraz pożądliwie, więc uśmiechała się prawie przyzwalająco.

– Co tam? – spytał jakby zakłopotany, wskazując znowu na pudło.

– Trochę jedzenia, chleb, ser, kaszanka – jadę do ciotki – śmiała się nieomal głośno.

Żandarm machnął ręką, wyszedł z przedziału, puściwszy przed siebie drugiego Niemca.

Twarz Zofii zastygła w nienaturalnym teraz uśmiechu. Rumieńce ustąpiły

miejsca bladeści. Mocno zaciskała spocone dłonie.

Tadeusz milczał. On jeden wiedział, że w kartonie jest radiostacja, a w rękawie powieszzonego żakietu – pistolet.

– Co za szczęście – myślała dziewczyna, przyjmując już spokojnie wiele mówiące spojrzenie Tadeusza, dostrzegła w nim bowiem pewien rodzaj podziwu.

Ocknęła się ze wspomnień, kiedy naraz rozdzwonił się śpiewem jakiś ptak. Spojrzała w niebo. Szybował lekko to w górę, to w dół. Skrzydła jego załśniły w majowym słońcu. Dziewczyna doznała radości, poczucie swobodnego lotu ptaka dodało jej sił. Szła lekko i szybko.

Około południa przysiadła na miedzy, posiliła się i odpoczęła oparta o chropawy pień gruszy. Uniosła głowę, chłonąc zapach. Białe płatki spadały na rozgrzane marszem policzki i łagodnie koły zmęczenie.

– Czas iść – ponagliła siebie.

Wróciła do wspomnień... Rejowiec, przesiadka! W tłumie nie brakowało zielonych mundurów. Oboje z Tadeuszem przebyli resztę drogi do Chełma w tłoku i ścisaku.

Dworzec. Znowż zaroilo się on mundurów. Tadeusz niósł pudło, szli spokojnie ku wyjściu do miasta. Udało się!

Na najbliższej ulicy chłopak odezwał się:

– Pożegnamy się. Bądź ostrożna. Dziękuję – objął dziewczynę i mocno uściśnął. Odwzajemniła ten gest i rzuciła krótko:

– Pamiętaj, musisz żyć. Wkrótce się spotkamy! – ostrożnie przekazała ręczną broń. Patrzyła długo, jak zdecydowanym krokiem oddalał się.

Już nigdy nie miała go zobaczyć. Wiadomość o jego śmierci dotrze do niej później.

Pod wieczór, kiedy zgasło słońce, Zofia czuła, że na drodze czai się większe niebezpieczeństwo. Dziewczyna szamotała się wewnątrz. Co robić? Bała się zbliżyć do ludzkich siedzib, ale nocą każdy krok wydawał się jej ryzykowny.

Postanowiła przenocować u obcych ludzi. Skierowała się w stronę najbliższej chałupy. Poprosiła o nocleg. Właściciele zgodzili się. Nakarmili ją nawet. Zasnęła w ubraniu.

Wczesnym rankiem wyruszyła w drogę. Poranna mgła okrywała wszystko dookoła. Przerzedzała się i rozplywała z chwilą, gdy słońce rzuciło na świat majową jasność.



W okolicach Izbicy stanęła na rozdrożu, zastanawiając się, jaką wybrać drogę. Las... Przyjął ją wiosennym zapachem.

Szła teraz rażno. Zaledwie kilka kilometrów dzieliło ją od domu. W porze południowej ujrzała swoją wieś.

Nogi ugięły się pod nią, gdy położyła rękę na klamce drzwi wiodących do domu. Otworzyła powoli i stała tak chwilę, ogarniając wzrokiem postać matki zwróconej w stronę kuchni. Chłoneła znajomy zapach tataraku, rozrzuconego przed wejściem i wewnątrz domu.

– Mamo – wyszeptała prawie niedosłyszalnie.

Matka odwróciła się gwałtownie i patrzyła niedowierzająco. Słowa zamarły na jej ustach. Szła bardzo powoli w stronę córki, jakby lękając się, że to przywidzenie, które może zniknąć.

– Dziecko – usłyszała Zosia.

Przyłgnęła do rąk, które ją obejmowały. Balsamiczna woń tataraku mieszała się z wszystkimi zapachami domu...

## Smak chleba

*Mojej Mamie*

– Dzieci, biegnijcie co tchu, musicie dopędzić Zosię i Mietka, dacie im chleb, na długą drogę! – Głos matki był zdyszany, na twarzy zarumienionej z wysiłku błyszczały kropelki potu.

Drobna ośmiolatka i starszy od niej o dwa lata chłopiec wiedzieli, że matka obiegrała we wsi kilka domów, nim udało się jej zdobyć dwa bochenki chleba. Mówiono im też, że Zosia i Mietek otrzymali wezwanie „na roboty” do Niemiec i muszą się stawić w niemieckim urzędzie na terenie Izbicy.

Każde z dzieci chwyciło bochen jeszcze ciepłego chleba, po czym wypadły z domu na drogę. Chłopak biegł długimi susami, dziewczynka ledwie mogła za nim nadążyć. Bosymi nogami śmigała za bratem, aż piasek spod stóp strzelał w górę. Chudymi rękami przyciskała do piersi chleb. Był taki ciepły, a pachniał, tak pachniał, że miała ochotę przystanąć i ugryźć kawałek.

– Nie, nie można – powiedziała do siebie w myślach.

Przypomniała sobie słodki smak kromki chleba, którym poczęstowali ją ro-

dzice zaprzyjaźnionej z nią rówieśnicy. Musiała wtedy być głodna. Patrzyła, jak nóż miękko wchodzi w bochen chleba, a na odkrojoną kromkę leje się ze słoika złocista strużka pachnącego miodu. Nieśmiało wyciągnęła rękę po chlebowy zapach. Gryzła powoli, smakowała słodycz miodu, jakby odurzona niecodzienną wonią. Oczyma wyobraźni widziała ule w sadzie, za stodołą i uwijające się wokół nich roje brzęczących pszczół.

– Szybciej! Szybciej! – to Romek, odwracając głowę do tyłu, wołał do siostry.

– Biegnę! – odkrzyknęła.

Droga, po której pędziła za bratem, wiodła przez wieś. Chałupy po lewej i prawej stronie migwały tak szybko. Drobne kamyki i żwir wbijały się w stopy, a ręce mocno obejmowały gładkość chleba, od którego biło niepojęte ciepło. Wzrok dziewczynki wybiegał naprzód, ale jeszcze nie dojrzała starszego rodzeństwa i innych młodych ludzi, zmierzających do miasteczka w tym samym celu.

Starła się dopędzić brata, a dziecięca pamięć przywołała inne bochny chleba. Kiedyś Zosia wróciła z Surhowa i rozpakowała przyniesione na plecach pieczywo. Opowiadała rodzicom, że na skraju lasu pojawili się żandarmi. Skontrolowali bagaż i na szczęście puścili ją wolno.

– Zobaczcie, co przyniosłam – gdy to mówiła, przełamała jeden bochen chleba.

Domownicy aż krzyknęli z wrażenia. Matka czyniła wyrzuty, że Zosia naraża się na niebezpieczeństwo, mogła przecież zginąć. Ona łagodziła niepokoje śmiechem i wesołym spojrzeniem ciemnych oczu. Przełamała następny bochen chleba – w nim także zapieczono ręczną broń.

Dziewczynka zapamiętała ten obraz jak coś niesamowitego. Nie wszystko mogła ogarnąć dziecięcym rozumem. Starsza siostra budziła w niej podziw.

– Musimy ją dopędzić – pomyślała szybko i mocniej przycisnęła do siebie pachnący chleb.

– To na długą drogę – powtórzyła słowa matki.

Daleka droga... Dokąd? Dlaczego? Przecież najstarszego z braci już zabrano. Edward był daleko, daleko... Jakaż to nazwa?

– Buchenwald, tak, Buchenwald – wymówiła głośno i w tej samej chwili ujrzała przed sobą dużą gromadę młodych ludzi.

– Zosiu! – przeraźliwy krzyk dziewczynki przeszył powietrze.

Romek już dobiegał do idących. Zatrzymali się, bo widocznie w krzyku, który usłyszeli, było coś przejmującego.

Zosia oderwała się od grupy i podbiegła do małej i Romka. Mietek też znalazł się przy nich. Dzieci wyciągnęły ręce z bochnami chleba i wcisnęły je rodzeństwu.

– Mama dała, na długą drogę – mówiły zdyszane.

Zosia miała łzy w oczach. Poglądziła dziewczynkę po twarzy, ucisnęła chłopca. Mietek próbował się uśmiechnąć. Tłum młodych oddalał się.

– Musimy iść. Pamiętajcie, słuchajcie mamy – powiedziała Zosia.

Dzieci patrzyły, jak rodzeństwo odchodzi, odwracając głowy w ich kierunku. Po chwili wmieszali się w gromadę. Jeszcze przez moment w pożegnalnym geście powiewały ich ręce. Osamotniony przydrożny krzyż daremnie wyciągał ramiona. Dziewczynka z uniesioną ku niemu głową stała milcząc. Coś ją ścisnęło za gardło...

Chłopiec pierwszy ruszył ku domowi. Mała wlokła się za nim powoli. Nie wiedziała, co począć z uwolnionymi od bochna chleba drobnymi rękami. Machała nimi, unosiła do góry, przebierała palcami. Brakowało jej zapachu chleba i miłego ciepła, jakie dawał. Doznała uczucia głodu. Teraz smakowałaby jej nawet kromka chleba upieczonego z mąki, która pochodziłaby „ze zrosniętego” zboża. Tak mówiła wtedy mama, z namaszczeniem krojąc czarny, lepki chleb i wtykając dzieciom do rąk z zapraszającym uśmiechem. Mała skubała drobne kęsy dziwnie słodkawego pieczywa, gdy niespodziewanie w drzwiach pojawiła się przyjaciółka. Nie wiedzieć czemu ręka z chlebem powędrowała do tyłu, ze wstydem, który trudno było zrozumieć. W tej samej chwili przyszło wspomnienie pachnącej miodem kromki, smakowanej w domu koleżanki. Czyż można było odwzajemnić się poczęstunkiem? Zabrakło odwagi.

Teraz, kiedy dziewczynka rozstała się z bochnem chleba, zapachniało tym samym czarnym chlebem...

### **Przyjść nie mogę**

Zmrok niebieścił szyby okien. Pokój tonął w półmroku, jedynie krąg światła naftowej lampy, zawieszanej w przejściu do kuchni, rozjaśniał pomieszczenie.

W najciemniejszym rogu na łóżku leżała kilkuletnia dziewczynka. Nie spa-

ła, szeroko otwartymi oczyma patrzyła na rozświetloną przestrzeń. Do uszu jej dochodziły z kuchni odgłosy rozmów, dźwięk przesuwanych naczyń i od czasu do czasu kroki domowników. Ciemności napełniały ją zawsze przykrym lękiem, tym chętniej obserwowała teraz toczące się w domu życie.

Przy stole, ustawionym przed chwilą w najjaśniejszym miejscu, siedziały dwie kobiety. Starszą dziewczynka widziała od tyłu, z ładnie zarysowaną głową i bujnymi włosami, zebranymi wysoko w ciężki węzeł.

Naprzeciw niej siedziała niespełna dwudziestoletnia dziewczyna o ciemnych włosach, pociągłej twarzy i lśniących, prawie czarnych oczach. Przed nią na stole piętrzyła się biel kokardek. Mała patrzyła na starszą siostrę, która zręcznie i szybko formowała ze wstążki weselne bukiety. Wiedziała, że Zosia będzie starszą drużną na uroczystości ślubnej swojej przyjaciółki.

Jaka szkoda, że nie zobaczy panny młodej. Jest wojna. Ślub będzie cichy i szybki. Wyobraźnia przywołała obraz dziewczyny w białej sukni i welonie ozdobionym wiosennymi konwaliami i stokrotkami. Była piękna jak kwitnąca w sadzie jabłoń.

– Czy ja też będę kiedyś panną młodą? – pomyślała i uczuła dziwną słodycz w sercu.

Z zamyślenia wyrwał ją czysty, ładny głos Zosi. Śpiewała: „Dziś do ciebie przyjść nie mogę ...”

Wszystko w domu nagle ucichło. Pieśń zabrzmiała tęsknie i przejmująco. Młoda kobieta opuściła głowę i zakryła twarz dłońmi. Zadrżały jej plecy. Płakała ...

Zosia nie umilkła, choć znieruchomiały jej ręce. Po chwili wyciągnęła prawą dłoń i dotknęła łagodnie pochylonej głowy kobiety. Gładziła piękne włosy, a melodia niosła się w ciszy wieczoru, aż drżało serce.

Dziewczynka zacisnęła mocno powieki i poczuła wilgoć na twarzy. Targnął ją nagły, niepojęty ból. Chciała krzyknąć, ale nie mogła wydobyć głosu. Ogarnął ją żal.

„Gdy nie wrócę ...” – dotarły do niej słowa piosenki i teraz dopiero pojęła ich sens. Zrozumiała gorycz cudzych i swoich łez. Żarliwa jak modlitwa myśl tłukła się po głowie:

– Niech on wróci, niech tylko wróci do domu, do tej miłej pani i jej córeczki!

Wiedziała, że mąż młodej kobiety jest na froncie. Usłyszała to pewnego czerwcowego popołudnia, kiedy na zieloną trawę podwórka zajechała niespodziewanie dorożka. Wsiadła z niej starsza pani o siwiejących włosach, mężczyzna o czerstwej twarzy i ich córka z pięcioletnią dziewczynką. Opuścili Krasnystaw, ich dom został zniszczony, szukają schronienia. Objechali całą wieś, ale nikt nie odważył się ich przyjąć. Zostali więc, bo cóż było robić. Dorożka wtoczyła się do stodoły, konia odprowadzono do sąsiada, który nie odmówił pomocy.

Zosia na polecenie matki wpadła do kuchni, by przygotować dla przybyłych jakiś posiłek. W czasie rozmowy przy stole przybysze rzucali różne informacje. Wtedy padło słowo „front”. Zosia tłumaczyła kilkuletniej siostrze, co to znaczy. Wojna, strzelanina, wybuchy rozrywających się pocisków, walka, rany, śmierć ...

To dlatego matka pięciolatki płacze, kiedy Zosia śpiewa „... przyjść nie mogę ...”

## Fiołki

Ledwie widoczna ścieżka pięła się stromo w górę, a zbocze porośnięte trawą i krzewami zieleniało wiosennie. Dołem zaś biegła droga, opustoszała w porze przedpołudniowej. Na tym tle rysowała się wyraźnie drobna sylwetka dziewczynki. Mogła mieć osiem, dziewięć lat. Zatrzymała się i rozglądała dokoła, kręcąc głową na wszystkie strony, aż powiewały dwa ciemnoblonde warkocze.

Spojrzała na prawo, na niżej położone łąki i zatrzymała wzrok na wodnych lustrach stawów, poprzecinanych zielonymi groblami. Przed kilkoma dniami tamtędy przemierzała drogę z matką, udając się do krewnych. Trzciny, lilie i ciche wody – wszystko było tam niezwykle...

Teraz jednak uwagę jej przyciągało zbocze z dziką dróżką, wiodącą do parku rozciągającego się wokół wspartego na białych kolumnach dworku, który wydawał się jej pałacem. Z pewnego oddalenia już wcześniej popatrywała na fronton budowli.

Po chwili z trudem wąską ścieżyną wdrapała się po zboczach i stanęła na płaskim terenie. Trawa tutaj była gęsta – bose stopy zagłębiły się w niej z uczuciem miłej ulgi.

Wysokie pnie drzew strzelały ku niebu, a przez młodą zieleń ich koron prze-

dzierało się majowe słońce, rzucając na trawę ruchome jasne plamy. Taka tu cichość panowała, tak było cieniście, że dziewczynka jakiś czas stała nieruchomo. Milczenie przerwał jakiś ptak, potem drugi, trzeci.

Wtem uwagę jej przyciągnęły fiołki wychylające się z trawy.

– Jakie śliczne!

Pochyliła się i dopiero teraz zobaczyła mnóstwo fioletowych kwiatków z żółtymi środkami. Zerwała kilka i zbliżyła do twarzy, wdychając z przyjemnością delikatny zapach. Prawą dłoń zanurzała w trawie i rwała, rwała, w lewej układając bukiet – ciasno, kwiatek przy kwiatku. Prostowała się i znów opadała nisko, ku trawie.

Nagle zmartwiała, wyciągnięta dłoń zatrzymała się. Na zieleni trawy ujrzała czubki czarnych, lśniących butów. Unosiła oczy wyżej, chwytając wzrokiem wysokie cholewy, zielen spodni, skórzany pas opinający mundur. Zadrżała przełknięta na widok kabury z ręczną bronią. Jak w strasznej baśni postać rosła, olbrzymiała...

Przez głowę dziewczynki przeleciało jak błyskawica wspomnienie bezładnej strzelaniny przed kilkoma dniami. Nie zdążyła wtedy dobiec do domu kuzynów. Potem z innymi dziećmi i kobietami w pośpiechu kazano jej schować się w piwnicy jednego z dworskich czworaków. Mężczyźni gdzieś pobiegli. Dziewczynka płakała ze strachu, choć uciszano ją i uspokajano. Nie wiedziała, jak długo trwała strzelanina. Później mówiono, że między Niemcami a partyzantami doszło do potyczki. Były ofiary. Podobno w Skierbieszowie często zdarzały się takie sytuacje.

Powoli, ze wzrokiem utkwionym w pistolet, mała wyprostowała się.

Dziwne, jakby nie dostrzegła twarzy oficera. Oczy powędrowały do wysokiej czapki. Nie ruszyła się z miejsca, nie mogła opanować obezwładniającego lęku. Czekwała...

Zaczął mówić, nie rozumiała, czuła jedynie, że w głosie kryje się coś złego. Ciągle stała i patrzyła. Uniósł prawą rękę wyżej i groził palcem. Drugą ręką wskazywał na otoczenie parku.

Pojęła:

– Nie wolno!

Poruszyła się, zaczęła tłumaczyć gestami, że weszła tu na chwilę, fiołki takie piękne. Wyciągała drżącą rękę z bukietkiem. Ciągle groził, wreszcie dał znak:

– Idź!

Odwróciła się szybko i ruszyła w stronę zbocza. Zsuwała się bezładnie, nie bacząc na to, że o wystające korzenie rani sobie ręce i nogi. Dłoń nie obejmowała już bukiecika liliowych fiołków.

Rozsypały się po pochyłości...





Blogostawiony  
i  
Natury



## Uroczysko

*Bratankowi Henrykowi z miłością*

Szary świt wolno, wolniutko, jakby z pewnym żalem porzuca mroczne, pełne tajemnic objęcia nocy. Bez pośpiechu ogarnia niebo mgliście bladym obliczem, by w pewnej chwili zapalić różowe zorze, zataczające coraz szersze kręgi.

Rzedną ciemności, ustępując miejsca jasnej poświacie, która zewsząd ściera nocne mroki. Zamglonym jeszcze niebem poczynają sunąć białe smugi obłoków, poprzez które sączy się coraz odważniej światło dnia.

Złocisty rydwan słońca wtacza się na pobłękitniały firmament. Triumfalnie przemierza go, rzucając to tu, to tam śmiałe błyski. Jaśnieją wierzchołki drzew, a na wodach stawu lśni odblask pogodnego nieba.

Z prawej strony brzeg, porośnięty opadającymi ku wodzie pędami leśnych jeżyn, perli się rosą. Trawa błyszczący brylantową wilgocią. Wąska ścieżka biegnąca brzegiem suszy się w promieniach słońca.

Na nieco wyżej wznoszącym się terenie prostują swoje łodygi smukłe osty o liliowych drobnych kwiatach, rozsiewających niewysłowiony aromat. Słońce nie zdążyło jeszcze wypić z nich kropli rosy, a już krążą nad nimi złocistobrązowe pszczoły. Tuż za ostami prężą się młodziutkie krzewy leszczyny, świerków, białokorej brzozy i dębu. Liście ich pobłyskują od srebrnych kropli. Jarzębina strojna w pomarańczowe korale kąpie się w świetlistości poranka.

Wysokie drzewa pną się szpalerem wokół półkolistego stawu, a w gęstwinie ich liści słychać jakieś szelesty, poszumy, pogwizdywania. W radosnym pędzie przeleciał lekki wiatr i obwieścił zbudzonym ptakom: „Pora, już pora!” Las zaniósł się porannym śpiewem, od którego drży serce i śmieje się dusza.

Lewy brzeg stawu porasta różnorodne zielsko, a skrzyp polny – miniatura pradawnych drzew – mieni się wieloma odcieniami zieleni, od której radują się oczy. Na łądkach wysokich traw tańczą barwne motyle i przeskakują skrzydlate turkusowe ważki. Oszałamiający zapach atakuje nozdrza.

Wody stawu grają światłem i cieniem. Srebrne grzbiety ryb falują w jego połyskliwych, ruchomych plamach. Opuszczają swoją kryjówkę, gdzie staw rozlewa się lekkim zakolem w prawo. Ogromne drzewa rzucają tam mroczne cienie. Tajemniczy zakątek, oddech leśnego uroczyska, gdzie zdają się dźwięczeć dalekie echa słowiańskich demonów, rusałek i opiekuńczych bóstw.

Serce chłonie moc i urodę pławiącej się w słońcu Natury...

## Po latach

Wędrowne szlaki młodości!...

Lipcowe słońce jarzy się w krąg, opromienia świat i przywołuje zapomniane drogi, dróżki. Biegiesz do lasu, szukasz tamtych ścieżek. Jak dobrze iść, zanurzać się w zielony chłód, słuchać muzycznej mowy trzepoczących się w gęstym listowiu ptaków i spragnionym wzrokiem ogarniać drzewa, krzewy, w których trwaniu odnajduje się powiew wieczności. Dęby, srebrzystoszare pnie buków i grabów szepczą tajemniczym pogwarem pieśń o nieskończoności.

A ty przemijaszu nieustannie... Odetchnij głęboko, weź w siebie ich siłę!

Leśna dróżka snuje się i wiedzie w głąb. Nagle widzisz zalaną słońcem porębę. Pnie jak nagrobne płyty budzą drżenie serca, są jak skarga, nie mogąc pojąć, dlaczego ich drzewa padły. Przysiadasz na martwym pniu, wzrok biegnie ku niebotycznym sosnom w niewielkiej oddali. Ich korony zdają się dotykać srebrzystobiałych, to znów perłowych strzępiastych obłoków, które żyją, pęczniają w przedziwne kształty na czystym błękitnie nieba. Przelotne ptaki jak ciemne punkciki obiegają zielen sosen, tocząc swe pogwarki. Słońce sączy się cieniutkami złotymi strugami poprzez sosnowe igliwie.

Błogosławiony cud Natury – jak bliskość Boga...

Opuszczasz leśną krainę. Żegna cię wibrująca melodia lasu – drga, dźwięczy, łąka, by umilknąć na szerokiej drodze wiodącej do małomiasteczkowej sennej atmosfery. Nagle w uszy wdziera się komunikacyjny zgiełk mknących nieustannie to w jedną, to w drugą stronę pojazdów. Znikły drzewa okalające drogę. Jakiś żal targa duszą... Idziesz w skwarze dnia, przymykasz oczy, w nozdrza wlewa się słodki zapach tamtych lip. Mijasz nieobecne wysokie jesiony, drzącolistne topole. Chwilami zanurzasz się w chłód tańczących na słonecznej drodze koron drzew, by znów zajaśnieć w słońcu, a za moment spotkać szarość ruchliwych plam. Twoje zamyślenie burzy szum, świst, hałas samochodów. Dysharmonię łagodzą pola – rezedowe łąny zbóż chylą się na twoje powitanie, polne maki pąsowieją z wrażenia. Smugi zieloności jak w tamtych latach...

Drogo, niezapomniana dróżko zagubionej młodości!

Wznosisz się wyżej, tuż przed miasteczkiem witasz dawnymi wysokimi drzewami. Jak w tamte dni...

Ostry wiraż, opada teren i pierwsze domy spoczywające nieco wyżej. Barw-

ne malwy przy nich jak strażniczki minioniej dawności. Chłoniesz ich urodę, nim wejdiesz w ciszę miasteczka, nim doznasz ulgi po wędrownym szlaku młodości.

### **Jarzębino, jarzębinko**

Jarzębino, jarzębinko, panno zielonooka!

Przydrożna towarzyszeko wędrowców, zagajnikowa strażniczko urody świata. Wiosenno-letnim słońcem odziana w białe baldachogrona o słodko-gorzki zapachu. U progu jesieni strojna jak dziewczyna wypatrująca swego ukochanego. Zielone włosy w koralowoczerwonym wieńcu muska łagodny wietrzyk. Czasem od pół przybiegnie swawolny pędziwiatr, spłącze zielonolistne warkocze, zadzwoni koralami, strąci pomarańczowo-czerwone zausznicze.

Jarzębino, jarzębinko, w letnią burzę drżysz niespokojnie roniąc łzy. Skąpana deszczem czekasz ciepłych, jasnych promieni, by osuszyć swe szaty i zabłysnąć na nowo niespotykaną pięknnością.

Jarzębino, jarzębinko, krasawico, kiedy patrzę na ciebie, jarzębinowo mi... Zieleniście i koralowo...

### **Rozśpiewała się wierzba**

Rozśpiewały się włosy twoje, wierzbo. Rozkołysały jasną zielenią wąskolistnych wstążek na żółtych, długich gałązkach. Swawolny wietrzyk splata je w zwisające warkocze i tańczy w ich cieniu. Biegnę pod cienisty baldachim i skryta przed światem obejmuję szaro-brązowy pień, by chłonąć twoją żywotność, wierzbo. Śpiewnym szelestem jasnych kwiatów mówisz do mnie o cudzie istnienia i nadziei na odrodzenie.

A ja płacząc dziś... Ogarnij mnie potężnymi ramionami, oderwij od mrocznych godzin. Daj lotność ptaków swobodnych, gwarzących wiosennie wśród wierzbowego listowia.

Kiedy przyjdzie jesień i w ziębnący czas zatarga twoimi konarami, obrabuje cię z twojej urody, poszarpie splątanymi warkoczami i płaczącej zdrzą poszarzałe ramiona, przybiegnę do ciebie, wierzbo. Otoczę z miłością twój pień, wy-

szepczę słowa nadziei. Wiem, że kolejną wiosną rozkwitniesz malowniczą pięknnością i znów rozśpiewasz się. Nie płacz... Trwaj!...

## **Widok z okna**

*Słonecznej Przyjaciółce Ewie – z wdzięcznością*

Kwitnie już czereśnia obsypana nieskalaną bielą kwiatów. W wiosennym słońcu ich płatki lśnią w radosnym zatrząsieniu. Na moje szczęście w szarości dni codziennych. Niespodziewana słodycz wlewa się do serca. Kwiaty pachną, pachną...

Słyszysz? W czereśniowym gąszczu muzykują wiosenne ptaki. Zapamiętaj tę chwilę. To życie...

Zbudź się, weź w siebie urodę drzewa, siłę jego chropowatego pnia i pnących się ku niebiosom mocnych konarów. Spójrz w błękit nieba, zamknij go w duszy na każdą godzinę. Twoje oczy rozbłyszczą barwą nieba.

Uwierz...

## **Iść ku słońcu**

Jesienna szaruga w leśnym pałacu pastwi się niemiłosiernie nad pięknym, tak niedawno jeszcze zielonym nakryciem dachu. Kandelabry dębowych gałęzi – szare, bezlistne – zwisają jak wyschłe szkielety na uwięzi.

Poszarzałymi drózkami hula wiatr, by w nagłych porywach poderwać do szaleńczego tańca opadłe liście, które szeleszczą żalosną nutą i, ziębnąc w locie, daremnie szukają swojego drzewa. Pozbawione jego bliskości biegną za daleko, szarpane ostrym podmuchem gubią drogę.

Odarte z szat ramiona konarów, ze skargą uniesione ku niebu, wypatrują słońca. Spoza burych, ciężkich, nabrzmiałych deszczem chmur nie może się przedrzeć żaden promień. Drzewa i krzewy drżą z chłodu i mglistej wilgoci.

Las moknie... Lśniące krople ranią nagość gałęzi, konary, wysokie pnie,

a brunatnobrudne poszycie z bezradnością przyjmuje nadmiar wody.

Tętno lasu – przyśpieszone, chwilami słabnie, zdaje się zamierać. Przejmująca tęsknota do wiosennych poranków, zieleni, słońca delikatnie złocącego przestrzeń, sprawia, że leśny świat zaczyna rytmicznie pulsować – z nadzieją na odrodzenie się życia.

Jesienny wiatr obiega leśną krainę, jakby mówiąc, że wszystko jest początkiem nowego. Bądź gotów!

Spójrz, niebo jaśniej – poprzez chmury przedziera się świetlista smuga...





Kartki  
z  
podróży



## Tryptyk z płaczącą gitarą

*Wołodii, ulicznemu bardowi z Żytomierza*

### Płacząca gitara

Tarcza słoneczna triumfalnie jaśnieje na niebie, syjąc złotymi strużkami światła. Z Ratusza spływa na miasto hejnał. Głos trąbki przenika mury kościoła Św. Ducha, by w modlitewnym tonie przykłęknąć przed Ukrzyżowanym. Dźwięki hejnału radośnie spadają na Bramę Krakowską, biegną między kamieniczkami Starego Miasta, wrywają się, by dotknąć rozległej bryły Zamku na wzgórzu. Po chwili wracają ze zwielokrotnioną mocą, by spacerkiem, pod rękę z przechodniami iść Krakowskim Przedmieściem, wmieszać się w gwarny świat.

Zasłuchana w południową mowę miasta podążam niespiesznie przed siebie. Nagle słyszę dźwięki gitary, powietrze napełnia się tenorowym śpiewem, który przenika do dna mojej duszy. Dźwięczny, liryczny głos, wrażliwy jak harfa eolska, budzi w sercu dziwne drżenia, jakąś rzewną tęsknicę. Jakby pozdrawiał mnie śpiewem niespodziewany potomek celtyckich bardów, mistrzów ballady. Ach, uliczny śpiewak czaruje ukraińskimi dumkami!

Słucham z bijącym sercem. Zda się, jestem czarnobrewą, ciemnooką dziewczyną... Biegnę witać wiosnę u stóp strojnej w zieleń kaliny... Czekam na swego miłego. Dlaczego nie zjawia się? Podarować serce chciałam. „Oj, ne ma, oj, ne ma, oj ne bude”...

Rzewliwy śpiew... Brzemie smutku... Znów dążę, gdzie gąszcz kaliny, zakwitającej słodką wonią kwiatów. „A miłoho ne ma”... Powędrował w daleką drogę. „Praszczaj sieło”... Tęskni za synem „nezdradliwa” macierzyńska, łaskawa miłość. Skarży się: „Ja tebe czekała”... Może przemierzasz bezkresny, dziki step? Suchy wiatr stepowy owiewa młodą twarz Kozaka, Kozaczeńka...

Melodia snuje się jak błędny ognik po stepie...

Ej, Wołodia, czarodzieju z Żytomierza!...

Pieśniarzu kresowy o smągłej twarzy matejkowskiego Anioła grającego na cytrze, śpiewaj na przekór ułomnościom tego świata. Melodią – owianą tchnieniem odwiecznych prawd o człowieku – prowadź przez życia rubieże – nutą tęsknoty, nadziei i miłości.

Graj, graj, „płakucza gitaro”...

## Wyśpiewać życie

Miękki, przejmujący głos Wołodii niesie się echem po ulicach Lublina. Zapada w cieniste bramy, pieści mury kamienic, wznosi się do uchylonych połyskujących w słońcu okien, tu i ówdzie wdziera się do wnętrza domów, napełnia je wzruszeniem. Łka gitara, to znów wybucha nutą melancholijnej radości.

Dokąd biegiesz, żytomierski bardzie? Gdzie wiedzie cię ukraińska dumka? Wyśpiewujesz swoje życie...

Oto wesoły, skłonny do zadumy chłopiec biegnie nad rzeką Teterew. Brodzisz jej płycizną, rozpryskujesz srebrzyste krople wody, śmiejesz się albo pochylony nad lustrem rzeki wypatrujesz swojej złotej rybki. Może śnisz o niezwykłych podróżach, dalekich krajach, cudach świata? A może przemierzasz szeroki step z bujną roślinnością, wdychasz słodko-gorzki zapach stepowych ziół...

Ech, dusza w tobie śpiewna!... W cytrynowo-żółtych ścianach i białej dekoracji architektonicznej soboru pod wezwaniem Przemienienia Pańskiego w środku Żytomierza słyszysz muzyczne echa dramatycznych scen – oto runęła dzwonnica, zniszczony sobór. W kilkanaście lat potem zabrzmia triumfalne dźwięki towarzyszące odbudowie – słyszysz je... Wyśpiewujesz historię Żytomierza, Rusi Kijowskiej i śladów polskości na tej ziemi z kościołem pod wezwaniem św. Jana z Dukli, klasztorem Bernardynów, starą katedrą,

Patetyczny koncert grają ci, żytomierski bardzie...

Nieś go w świat!

## Europejskim szlakiem

Są ptaki wędrowne – przelotne, powrotne... Wędrują ryby do miejsc, gdzie rodzą szczęśliwie swoje potomstwo. Planety szukają dla siebie nowych przestrzeni w kosmosie. Nawet kurhany, zasy i wydmy ulegają pokusom wiatru, by przesuwać się miejsca na miejsce. W człowieku drzemie natura pielgrzymia. Od wieków trwa nasze pielgrzymowanie.

Pieśniarzu żytomierski, jesteś jak ptak gotowy do lotu. Co cię tak gna? Jakie szlaki ci grają? Jaką pieśnią je witasz? Dziś Lublin, jutro miasto Kopernika, a wkrótce królewski Kraków... Płacze twoja gitara, śpiewasz światu pieśni swej duszy targanej niepokojem własnego narodu, niepewnością jutra, nade wszystko

jednak odkrywasz urodę i bogactwo człowieczej natury.

Graj gitaro, śpiewaj, Wołodia, ludziom na radość, sobie na chwałę. Miejsca dość wszędzie dla ulicznych bardów. Wędrowne szlaki Europy przed tobą. Dom może stać tu i tam, jeśli w nim wielkie serca, prawda, mądrość i przyjaźń.

Pieśniarzu żytomierski, wysłanniku piękna, nieś swoją pieśń. Niech brzmi gitara, niech twój śpiew płynie po wędrownych szlakach. Niech zadrżą serca, a dusze przepełni radość istnienia, życia.

*Lublin, lipiec 2007 r.*

## **Impresje podróżne**

### *Niezwykłemu Towarzyszowi podróży*

Pociąg toczy się wartko po szynach z muzycznym zgrzytem, poświstem, sapaniem.

Stoję przy oknie wagonu drugiej klasy. W samotności chłonę umykające widoki. Pogodny czerwcowy przedwieczorz. Słońce rozlewa złocisto-czerwone barwy i wszystko tonie w niepojętym blasku, czasem rozplamienia się wokół drzew, krzewów, zieloności pól, fragmentów zabudowań. Ptaki unoszą się jeszcze wysoko do niebieskawej światłości dnia. Prawie słyszę łopot ich skrzydeł i cichnące śpiewy. Brzmia jak dziękczynne błogosławieństwa za podniebne loty, urodę świata i odwieczne prawo mądrej zmienności w Naturze.

Może nawet w człowieku...

Obserwacja Natury ma w sobie siłę o nadzwyczajnej mocy. Umykający za oknem pejzaż jak w obrazach Maneta, Renoira, Moneta. Smugi ciepłego złotego światła. Jakieś mgiełki, kontrast między światłem a cieniem, czasem kolorowym, pojawiające się rozbłyski. Zmienność kolorów sprawia, że wszystko drży nieustannie.

O! mały zagajnik drzew! Jak w obrazie „Akwedukt” Renoira drzewa o rozdrzanych koronach, miejscami prześwietlone słonecznym światłem. Przedwieczorne słońce rzuca na podłoże żółte plamy, przechodzące harmonijnie w nieco pomarańczowe czerwienie.

Nieodparte wrażenie urody świata...

Zda się, że za chwilę otworzy się przede mną inna rzeczywistość – pełna niespodzianek, baśniowości. Jakieś oczekiwanie drżącego serca, słodka ułuda...

Przysiadam na twardej ławce i w jednej chwili uchodzi ze mnie poczucie szczęśliwości. Przedział obskurny – w drzwiach i przy oknie dalekie od czystości, postrzępione kotary.

Zamykam oczy, by przywołać dobre wrażenia. Łoskot pędzącego pociągu zaczyna grać, śpiewnie pogwizdywać. Przeciągly dźwięk zapowiada kolejną stację.

Nagle w drzwiach, w półmroku postać mężczyzny.

– Można? – rzuca pytanie. Mój przyzwalający gest i towarzysz podróży zajmuje miejsce naprzeciwko.

Niewymuszona rozmowa o teatrze, malarstwie, literaturze. Pociąg pędzi. Serce drży...

W jednej chwili pięknieje przedział. Mam wrażenie, że za chwilę rozbłyszną kandelabry. Moje oczy jaśnieją. Łagodna muzyka...

Zniewalający uśmiech rozmówcy. Chwilo jesteś, a więc trwaj! Musisz jednak przeminąć...

Nocna rozmowa pogłębia wrażenie niezwykłości upływającego coraz szybciej czasu. Pociąg pędzi, nie dopędzi tego, co przemija...

Kres podróży. Ostatnie słowa:

– Jesteś wspaniała!

– A ty niezwykły!

– Do zobaczenia na trasie pociągu, nocnego włączęgi...

Wracam szybkim krokiem do domu. Chwytam obraz granatowej chusty nieba, połyskujących gwiazd i uśmiechniętego księżyca. Szukam sensu w wiecznej Naturze. Istniejesz, a więc to jest piękne...

### **Rozmowy jałtańskie**

– Ziemia poruszyła się pod moimi stopami.

– Podaj mi rękę.

– Pytasz, dlaczego zadrżałam?

– Nie wiem. Może od ciężaru twojego spojrzenia... Wyjdźmy w cienistość

alei. Nieboskłon pochylił się nad naszymi głowami i rozniebieścił świat. Gdyby tak zagubić się w nim!

– Milczysz... W zieloną strzelistość cyprysów zaklinam to milczenie – na zawsze.

– Mówisz, że po skończeniu świata zakwitać mam bielą magnolii? Dobrze. A kiedy morski wiatr zabłądzi między cyprysy i magnolie, sfrunę białym kwiatem pod ich stopy?...

– Chcesz, bym wirowała w rytm roztańczonych słonecznych plam na alei?

– Aż do zniknięcia...

– Pozwól odpocząć w ożywczym cieniu eukaliptusa.

– Gdzie twoja dłoń?

– Ach! Nie ma tu nikogo...

### **Kolchidzka Madonna**

W szarej mżawce, drobnej jak miliony niezliczonych muszek, zagubione uliczki Suchumi. W mgiełce tajemniczości – zaledwie kontury domów. Rozbiedlone wiecznym śniegiem szczyty gór z jednej strony, z drugiej zaś – poszarzałe morze, nie mogąc się rozstać z brzegiem, obejmuje miłośnie całą krainę.

Dzwonią kroki ulicznych przechodniów. W mżysty dzień przechadza się z nimi przeszłość. Skarby Kolchidy.

Odsłania się zasłona i – nagle objawienie – Madonna z dzieciątkiem!

Powiedz, dlaczego nie unosisz się lekko? Zabrakło też jasności z obrazu mistrza. Siedzisz w ramie odrapanego muru, w czerni. Twoich włosów nie przeświecła słońce.

Jedną ręką tulisz owinięte w zapomnianą biel śpiące dzieciątko. Jego oczy o żywym spojrzeniu – schowane. Z twoich oczu, ukrytych pod półprzymkniętymi powiekami, wymyka się porażający smutek.

Kto skradł ci pogodę z dziewczęcej twarzy? Gdzie niepowtarzalne Objawienie?

Zebraczym gestem wyciągasz dłoń...

Świat doznaje zawrotu głowy. Prorocy bezradnie rozkładają ręce...

## Magdeburski jeździec<sup>12</sup>

Anioł nocy zatrzasnął wrota dnia, granatową chustę nieba rozświetlił gwiazdami i błądy księżyc zawiesił wysoko. Cisza zawisła chłodno w miejskich zaułkach, spłynęła łagodnie na Ratusz. Zdrożony jeździec zastygł martwo na koniu. Rycerska na nim zbroja, skryta w fałdach płaszcza. Nagi miecz czeka na zew, a rumak gotuje się znów do boju. W królewskiej postawie zapowiedź zwycięstwa.

Dlaczego zatrzymałeś się nagle – na wieki całe? Łowisz uchem znajomy głos...

Słyszysz? Grają dzwony... Pędź, galopuj! Porzuć pola bitewne – woła cię Roksana. Przemierza puste komnaty zamczyska, biegnie ku wierzejom, wypatrzuje swojego miłego. Jej czoło pod złotym diademem – chmurne, stroskane, w jej oczach lśni łza, a serce wzbiera bezbrzeżną tęsknicą.

Czemuś sposepniał?

<sup>12</sup> Replika pomnika Karola Wielkiego (742–814), oryginał – w Luwrze w Paryżu. Z pomnikiem w Magdeburgu wiąże się legenda o młodziutkiej żonie Roksanie, którą Karol Wielki tuż po zaślubinach pozostawił w magdeburskiej siedzibie, udając się na kolejne podboje Europy, które doprowadziły go do koronacji na cesarza (800) chrześcijańskiego imperium Zachodu.



## DOROBEK TWÓRCZY

Utwory nagrodzone w konkursach literackich:

1. Łuków, 1 października 2005 r. – III miejsce w Konkursie Literackim „O Łukowski Amonit” za pracę *Jesienna sonata*.
2. Łuków, 15 maja 2006 r. – utwór *Leśna opowieść* wybrany do „Błękitnej siódemki” najlepszych utworów w konkursie „O kwiat niezapominajki”.
3. Nałęczów, 9 września 2006 r. – wyróżnienie w kategorii esej w V Ogólnopolskim Konkursie Małych Form Literackich im. S. Żeromskiego za utwór *Twoim śladem*.
4. Łuków, 23 września 2006 r. – I miejsce w kategorii proza w IV Konkursie Literackim „O Łukowski Amonit” za utwór *Morzem jestem*.
5. Łuków, 22 września 2007 r. – II miejsce w V Konkursie Literackim „O Łukowski Amonit” za utwór *Tryptyk z płaczącą gitarą*.
6. Radzyń Podlaski, 20 listopada 2007 r. – wyróżnienie w turnieju literacko-plastycznym „Chichot Chimery” za utwór *Tryptyk z kosą*, publikacja w kwartalniku „Kozirynek” nr III/Zima 2008 r., str. 196-197.
7. Bolesławiec, grudzień 2007 r. (organizator – Gminny Ośrodek Kultury i Sportu w Bolesławcu) – I miejsce w Ogólnopolskim Konkursie na Najpiękniejszy List – *List do zmarłej Matki*.
8. Opole, grudzień 2008 r. – wyróżnienie w V Ogólnopolskim Konkursie na esej „Od cierpienia do Boga. Drogi transcendencji w poetyckiej twórczości Zbigniewa Herberta”, organizowanym przez Miejską Bibliotekę Publiczną.
9. Lublin, 27 marca 2009 r. – V Wojewódzki Konkurs Literacki – I nagroda w kategorii proza za opowiadanie *Wybawiony z Szeolu*. Utwór zamieszczony w publikacji *Chmurami podkrążone oczy*.
10. Łuków, 15 maja 2009 r. – Konkurs Literacki „O kwiat niezapominajki” – utwór *Gdybyś powrócił* wybrany do „Błękitnej siódemki” najlepszych utworów.

Publikacje:

1. „Poezja dzisiaj”, nr 62/2007 r. – publikacja eseju *Wędrowki szlakiem TRYPTYKU Z GWIAZDAMI* Waldemara Michalskiego, str. 151-154.
2. „Kozirynek”, nr V/Lato 2008 r. – publikacja utworu *Tryptyk z płaczącą gitarą* – str. 196-197.
3. *Już za chwilę...*, tomik poetycki HABIBI I PRZYJACIELE – utwory: *Synku, Uroczysko, Jarzębino, jarzębinko, Rozśpiewała się wierzba* – str. 107-109.

## SPIS TREŚCI

Wstęp .....	3
ISTNIEĆ	
Fragment listu do zmarłej Matki .....	9
Mój Big Ben .....	9
Istnieć .....	10
Jesienna sonata .....	10
MORZEM JESTEM	
<i>Nocą na Morzu Czarnym</i> .....	14
<i>Nawałnica</i> .....	14
<i>Tonący okręt</i> .....	14
<i>Uspokojenie</i> .....	15
<i>Dwa brzegi</i> .....	16
Eden .....	16
Bogini .....	17
Umknąć wieczności .....	18
Oratorium na cześć życia .....	19
Danse macabre .....	20
Gdybyś powrócił.....	21
Pożegnanie z Arkadią .....	22
PO SKOŃCZENIE ŚWIATA	
Biała Róża .....	27
Leśna opowieść .....	29
Widzę cię w słońcu .....	31
Po skończeniu świata	
<i>Przebudzenie</i> .....	32
<i>Porzucić sen nieprzespany</i> .....	33
<i>Zawsze i wszędzie</i> .....	33
<i>Odnajdę twój ślad</i> .....	34
<i>Po skończeniu świata</i> .....	35
Dialog o miłości .....	36
BYŁ TAKI CZAS	
W czas kwitnienia .....	43

Wiejska droga .....	46
Lamentacja .....	47
Zapach tataraku .....	49
Smak chleba .....	57
Przyjść nie mogę .....	59
Fiołki .....	61
BŁOGOSŁAWIONY CUD NATURY	
Uroczysko .....	67
Po latach .....	68
Jarzębino, jarzębinko .....	69
Rozśpiewała się wierzba .....	69
Widok z okna .....	70
Iść ku słońcu .....	70
KARTKI Z PODRÓŻY	
Tryptyk z płaczącą gitarą .....	75
Impresje podróżne .....	77
Rozmowy jałtańskie .....	78
Kolchidzka Madonna .....	79
Magdeburski jeździec .....	80